

# Przewodnik Katolicki

Ilustrowany tygodnik dla rodzin katolickich - Redaktor założyciel X. Józef Kłos, redaktor nacz. X. Fr. Forecki



**Ś. P. KS. JÓZEF TEODOROWICZ**  
Arcybiskup Metropolita obrządku ormiańskiego.

Zmarł we Lwowie 4 b. m.

(Czyt. art. na str. 857)

# Przemówienie radiowe Jego Eminencji Ks. Kardynała Prymasa,

wyłoszone dnia 3 grudnia 1938 r. na rozpoczęcie akcji Pomocy Zimowej dla Bezrobotnych

## Największa w dziejach polskich dobrowolna akcja składkowa

„Pomoc Zimową dla Bezrobotnych” uzasadniono już nieraz, a uzasadniano tak wszechstronnie, że dalsze dowodzenie jej konieczności równałoby się wybijaniu otwartych drzwi. Rosnące powodzenie i błogosławione rezultaty tej największej w dziejach polskich dobrowolnej akcji składkowej są jej powszechną, a jakże chlubną legitymacją.

A jednak w roku bieżącym ukazały się w pismach pierwsze zastrzeżenia co do jej celowości. Można by je krótko wyrazić tymi słowy, że zamiast odwoływać się do kieszeni obywateli i opodatkowywać ich na rzecz bezrobotnych i na dożywianie głodnych dzieci, należy raczej stworzyć takie warunki bytowania, iżby bezrobotnych i dzieci nie dokarmionych w ogóle nie było. Pogląd sam przez się słuszny, ale na tle rzeczywistości naszej nierealny. Owszem pogląd to bałamutny, bo płynący z mniemania, że można sobie Pomoc Zimową zaoszczędzić, gdyby zrealizowano poprawę gospodarczą, co przy dobrej woli i mądrej polityce dałoby się rzekomo przeprowadzić ot tak z jednego roku na drugi. Tak nie jest.

## Nie wolno osłabiać zaufania do Pomocy Zimowej

Wspominając o programach gospodarczego uzdrowienia kraju w okresach cztero- i pięcioletnich, mówił dalej Ks. Kardynał Prymas:

Wierzę, że bezrobocie ubywać będzie z roku na rok i zmniejszać się będą jego zgubne skutki. Ale dziś ono jest, a dopóki jest, nie możemy nie zważać na nie i nie możemy nie łagodzić jego straszego oddziaływania. Dopóki są bezrobotni, dopóki są dzieci bezrobotnych, nie wolno osłabiać w społeczeństwie zaufania do Pomocy Zimowej.

## Nie pozwolimy na to, by w Polsce ktoś głodował

Skądinąd zauważyć można zjawisko pewnego znużenia wskutek powracającej od szeregu lat zbiórki na Pomoc Zimową. Przy tylu innych kwestiach sprzykrzyło się to niejednemu; dał chętnie raz, dał bez szemrania drugi raz, dał pod pewnym moralnym przymusem po raz trzeci, w końcu wołałby, żeby go już nie nudzono. Ludzki to odruch samolubstwa i wygody, zrozumiały, ale nieszlachetny i niezgodny z wymaganiami chrześcijańskiej miłości bliźniego. W podobnych okolicznościach Apostoł przypominał gminie w Efezie słowa Zbawiciela: „Większe jest szczęście dawać aniżeli brać”. Bo dawać, gdy dawać przychodzi trudno, to pokonywanie łatwizny, to potęgowanie ducha, tego ducha, którym nowe czasy kształtować chcemy. Do wielkości iść musimy, jak o Chrystusie powiedziano, „dobrze czyniąc”.

Katolicyzm jest z natury swej religią społeczną. Kościół Chrystusowy opiekował się biedą z tą samą pieczo-

witością, z jaką bronił objawionej Prawdy. Pierwszy tworzył instytucje dobroczynne i przez długie wieki sam je utrzymywał. Po dziś dzień spełnia ogrom miłosierdzia na wielu odcinkach sproletaryzowanych społeczeństw. To też i przy przeprowadzaniu akcji Pomocy Zimowej nie braknie ani Kościoła ani katolickiego kapłana. Nie pozwolimy na to, by w Polsce ktoś głodował! Nie dopuszczajmy do tego, by w Polsce ktoś zimą zmarł. A przede wszystkim nie obarczajmy się odpowiedzialnością za to, że w swobodnej Ojczyźnie polskie dziecko żyje wśród nas w nędzy i nieszczęściu.

## O ludzkie warunki bytu dla polskich dzieci

Wołamy o szkołę dla polskich dzieci. Wołamy o prawdę wieczną dla nich. Wołamy dla nich o święte prawo moralne, o ciężką ducha, o myśl polską, o uczucie państwowe, o tęsknotę za wielkością narodu. Pomoc Zimowa woła dla nich o ludzkie warunki bytu, woła o chleb i mleko, o ciepłą izbę, o chwilę szczęścia przed złóbkim Zbawiciela.

Wsparcie biednego dziecka, to cześć dla polskiej przyszłości. Szczęście, które z naszej dobroci zabłyśnie w jego oku, przekształci się kiedyś w twórczą dumę narodową. Tegoroczna zbiórka na gwiazdkę dla dzieci bezrobotnych, to jakby wnoszenie do skarbcza narodowego klejnotów, które kiedyś w chwilach wielkich i trudnych realizować będzie ku

# Powszechnie odnowienie całego świata

## Ewangelia

### na czwartą niedzielę Adwentu

zapisana u św. Łukasza w rozdz. 3, w 1—6.

*Diętnastego roku panowania Tyberiusza cesarza, gdy Poncjusz Pilat rządził żydowską ziemią, a Herod był Tetrarchą Galilejskim, a Filip brat jego Tetrarchą Iturejskim i Trachomitskiej krainy, a Lizaniusz Abileńskim Tetrarchą; za najwyższych Kapłanów Annasza i Kafaśsa, stało się Słowo Pańskie do Jana, Zachariaszowego syna, na puszczy. I przyszedł do wszystkiej krainy Jordanu, opowiadając chrzest pokuty na odpuszczenie grzechów, jako jest napisano w księgach Izajasza Proroka: Głos wołającego na puszczy: Gotujcie drogę Pańską, czynicie proste ścieżki Jego. Wszelka dolina będzie napelniona i każda góra i pagórek poniżon będzie i krzywe miejsca będą proste, a ostre drogami gładkimi. I ogląda wszelkie ciało zbawienie Boże.*

## NAUKA

Ewangelia dzisiejsza opisuje tę wielką i uroczystą chwilę w dziejach, kiedy poprzednik Pana Jezusa wychodzi z pustyni i zaczyna swą misję, mającą lud żydowski przygotować na przyjście Zbawiciela. Godne uwagi są szczególnie ostatnie słowa jego kazania: „I ogląda wszelkie ciało zbawienie Boże”. — Niewinna męka Pana Jezusa nie będzie tylko odkupieniem człowieka, ale nawet zwierzęta i całe przyro-

czenie poczuja na sobie błogosławione skutki tej wielkiej wyplaty Boga-Człowieka.

Przed grzechem pierwotnym istniała błoga harmonia między człowiekiem a światem zwierzęcym i przyrodą całą. Czytamy w pierwszej księdze Mojżesza, że Pan Bóg utworzywszy „wszelkie zwierzęta ziemne i wszelkie ptactwo powietrzne”, przywiódł je do Adama. Wszystkim zwierzętom, ptactwu i bestiom nadał Adam imiona, jako ich pan, bo one wszystkie miały jemu służyć i pomagać w zarządzie ziemią oraz być dla niego rozrywką w samotności.

Grzech pierwotny zburzył wkrótce ten ład Boży. Zniweczywszy harmonię między Stwórcą a człowiekiem, niweczył ten grzech równocześnie zgodę między człowiekiem a zwierzętami i całym przyrodzeniem. Te żalose ryki po kniejach i ostępach leśnych, to jakby wzdychania zwierzęce za wyzwoleniem.

Zbawiciel świata spełnił te wszystkie oczekiwania i wniebogłoso. Jako Najwyższy Pan świata nakazywał otwierać litosciwe serce nie tylko dla człowieka, ale i dla zwierzęcia. Wół i osioł przecież w swej stajence pierwsi gospody Mu użyczyli i przed pastuszkami i królami pierwsi pokłon Mu oddali.

Tak tedy dzisiejsza Ewangelia w kazaniu św. Jana wzywa nas wszystkich, abysmy sobie serce rozszerzyli na przyjście tego, który „nowym” uczyni wszystkie rzeczy (Objaw. 21,5). Każdy z nas tylko w sercu wezbranym wielką miłością dla wszy-

stkiego, co żyje, zdolny pochwyć tę górną falę powszechnego odnowienia całego świata.

W żywotach świętych mamy nieraz rzeźwne przykłady tego tkliwego uczucia dla zwierząt. Dwa lwy grzebią ciało zmarłego św. Pawła, pustelnika. Św. Franciszek z Assyżu, według legendy, oswaja wilka z Gubbio i głosi kazanie do ptaszków. Św. Antoni Padewski przemawia do rybek, a osiołek, według legendy, kłeka, gdy Święty przechodzi z Najśw. Sakramentem.

Lud polski w swoich zwyczajach objawia często głębokie zrozumienie tych prawd chrześcijańskich i próbuje ze zwierzętami obcować, jak Adam w raju przed grzechem pierwotnym. Wieśniacy dzielą się w wieczór wigilijny także opłatkiem ze swoim bydełkiem. Są skłonni wierzyć, że woły tego wieczoru rozmawiają ze sobą. Na Mazowszu gospodarz na zimę umieszcza przed chatą albo na stodole snop pszenicy dla wyżywienia ptaszków. Te tklive uczucia dla wszystkiego, co żyje, są to nieocenione zadatki wysokiej kultury ducha i wielkiego jeszcze posłannictwa naszego narodu w dziejach ludzkości. Prawdy objawione nam przez Zbawiciela ma on na coraz to szersze dziedziny życia rozproprowadzić i przybliżyć to powszechnie odnowienie całego świata, którego zapowiedzią jest Boże Narodzenie”).

Brat mniejszy.

\*) Zwracamy tu uwagę na piękną książkę, wydaną w tym roku przez Księgarnię św. Wojciecha: Dr Mieczysław Skrudlik: „Chryścianizm a świat zwierzęcy”.

swjej obronie i potędze nieśmiertelna Rzeczpospolita.

Nic dziwnego, że ten dzień ofiarny stoi pod auspicjami czołowych władz, i że na chodnikach miast piastunowie

najwyższych urzędów państwowych zastępować nam będą drogę, by prosić o datki na polskie dzieci.

Damy wszyscy. Damy wedle możności. Polska nie opuści swych bezrobot-

nych. Polska nie poskapi serca swym dzieciom, potomkom bohaterów i bohaterom polskiego jutra. Orłom pozwólmym rozwinąć skrzydła do lotu ku szczytom polskiej wielkości.

# Ś. P. ARCYBISKUP JÓZEF TEODOROWICZ

## Duszpasterz i patriota

Zgon śp. Arcybiskupa Józefa Teofila Teodorowicza okrył żałobą całą Polskę. Mimo że był pasterzem jednej diecezji, śp. Ks. Arcybiskup promieniował swą twórczą i niespożytą działalnością na cały kraj, zarówno za czasów niewoli jak i w Polsce odrodzonej.

Na zawsze pozostanie w pamięci rodaków niezłomna postawa śp. Arcybiskupa Teodorowicza w chwilach trudnych i przełomowych dla Polski. Wiare w rychły już świt niepodległości niósł ze sobą poza kordony austriackie, do b. Kongresówki, do b. Księstwa Poznańskiego. Kiedy w roku 1906 przybył do Poznania na pogrzeb śp. Ks. Arcybiskupa Stablewskiego, a było to w czasie strajku szkolnego, przybyła do niego delegacja matek polskich, a by szukać umocnienia i pociechy w walce o prawa dziecka do nauki religii w ojczystym języku. Śp. Ks. Arcybiskup przemówił do nich tak płomiennie i tak je pokrzepił w walce o te święte prawa, że Wielkopolska w wdzięcznej pamięci zachowała i zachowa to jego odważne i krzepiące przemówienie.

Obejmował zawsze cały naród. Ale w razie starć stawał zawsze po stronie pokrzywdzonych, bronił zawsze sprawiedliwości. Przed wojną wystąpił skutecznie przeciw reformie wyborczej dlatego, że, jak potem uzasadniał, miała „uprzywilejować miasta kosztem wsi, żydów kosztem chłopów”.

## Obrońca praw narodu polskiego

Niebawem z większą jeszcze odwagą cywilną wystąpił wobec austriackich władz zaborczych w obronie praw narodu polskiego do zjednoczenia i niepodległości.

Dnia 30 października 1917 r. zabrał głos w austriackiej Izbie Panów. W sposób miażdżący odsłonił w tej mowie obłudne postępowanie państw centralnych wobec Polski. Powołał się na fakty: na niemieckie projekty zaboru i podziału Polski, na niszczenie lasów i fabryk polskich, na wywożenie setek tysięcy polskich robotników, na poniżenie warszawskiej Rady Stanu, na bezsensowną przysięgę, proponowaną wojsku polskiemu, na rozbitcie i więzienie legionistów.

Wreszcie oświadczył, że jedynym na sprawiedliwości opartym, rzeczywistym dążeniem wszystkich Polaków jest — przywrócenie w całości państwa Polskiego.

Mowa ta, przetłumaczona na język polski i wydana pt. „Z dziejowej

chwili“, rozeszła się po całej Małopolsce, przyczyniając się wybitnie do uświadomienia, wzmocnienia i skupienia polskiej opinii w tej dzielnicy.

I Śląsk, złączony dziś z Polską, zawdzięcza wiele temu wielkiemu Patriocie. Kiedy toczyła się walka o losy tej dzielnicy śp. Ks. Arcybiskup udał się w roku 1920 do Rzymu wraz z Księciem Metropolita Sapiaha, aby Ojcu św. Benedyktowi XV przedstawić prawa Polski, a w drodze powrotnej miał w Paryżu i w Brukseli na ten temat szereg odczytów, które obcym rozjaśniały pogląd na tę sprawę.

## Miłosierne dla wszystkich serce

Przez cały czas wojny światowej Ks. Arcybiskup Teodorowicz nie tylko otrzegał, przemawiał, pisał, ale i rozwijał także i nieustanną żywą działalność charytatywną i opiekuńczą w stosunku do wszystkich, tak bardzo wtedy licznych, prześladowanych i szykanowanych. Wobec zaborcy wszyscy Polacy, przyjaciele czy przeciwnicy wczorajsi zarówno byli mu braćmi. Drzwi jego domu zawsze stały otworem dla wszystkich pokrzywdzonych, bez różnicy sfery społecznej i przekonań politycznych. Za to wielkie szlachetne serce zdobył sobie wtedy powszechną cześć, zaufanie i wielką popularność.

## Poza politycznym życiem

Po wojnie, po kilkuletniej pracy w sejmie polskim i w senacie dla ludzi tego pokroju, tej ewangelicznej wiary, niezłomnej konsekwencji i odwagi moralnej co Ksiądz Arcybiskup Teodorowicz zabrakło miejsca w życiu publicznym.

Minał czas dłuższy, nim znowu przemówił. Tym razem w starej swojej katedrze ormiańskiej, na zakończenie roku 1930. W mowie tej powiedział:

„Kiedy społeczeństwo patrzy na złe obojętnym okiem i milczy, wówczas zło, czelne, przemysłne i śmiałe narzuca takiemu społeczeństwu swoją opinię i usypia sumienie... A wtedy, gdzież to się rozeznac pomiędzy dobrem i złem?”

I kończy modlitwą:

„Nie na toś nas wskrzesił, Panie... nie na toś nas wolnością obdarzył, byśmy sami u siebie w niewoli jęczeli ducha... Ty nami kieruj i rządź nami!”

## Wielkie nie dokończone dzieło

W ostatnich latach rozpoczął Ks. Arcybiskup pracę nad wielkim dziełem o życiu Chrystusa Pana. Wydane



Katedra ormiańska we Lwowie

dotąd dwa tomy zdumiewają ogromem wiedzy, ścisłością budowy, głębią uczucia i pięknoscią języka. Do ostatnich dni swego życia nie ustawał w swej pracy. W którejsz z prac swoich rzucił Polsce aż nazbyt biernej i obojętnej słowa Eklezjasty: „Kto się na wiatr ogląda, nigdy siał nie będzie, a kto przypatruje się obłokom, nigdy żać nie będzie”. Sam, nie oglądając się na wiatry i obłoki, orał i siał nieustannie. I zbierał już żniwa.

Trumna zamknęła zwłoki, ale nie zamknęła ducha wielkiego kapłana, patrioty, złotoustego mówcy, pisarza i wychowawcy narodu. Ten duch żyje i żyć będzie w narodzie polskim.

Śp. Ksiądz Arcybiskup Józef Teodorowicz urodził się w Żywaczowie koło Horodenki dnia 25 lipca 1864 r. Gimnazjum ukończył w Stanisławowie, teologię na uniwersytecie we Lwowie. Wyświęcony w r. 1887 na kapłana obrządku ormiańsko-katolickiego był wikariuszem w Stanisławowie i we Lwowie, proboszczem w Brzeżanach, kanonikiem gremialnym Kapituły we Lwowie, a po śmierci arcybiskupa Izakowicza został przez Stolicę Apostolską mianowany arcybiskupem obrządku ormiańskiego we Lwowie w r. 1901. Sakrę biskupią otrzymał Ks. Arcybiskup Teodorowicz z rąk kardynała Puzyny dnia 2. II. 1902 r.

Śp. Arcybiskup Teodorowicz przed wojną był członkiem sejmu galicyjskiego, zasiadał w Izbie Panów i w Radzie Państwa w Wiedniu. Po odzyskaniu niepodległości był posłem do Sejmu Ustawodawczego, a następnie krótko senatorem. W roku ubiegłym Ks. Arcybiskup Teodorowicz obchodził złoty jubileusz kapłaństwa. Wdzięczne za jego trudy, miasta Lwów i Brzeżany mianowały go swym obywatelom honorowym. Pogrzeb śp. Ks. Arcybiskupa odbył się dnia 10 grudnia br. na koszt miasta Lwowa.



Cz 3665/1938/51

4476 2006

# Polacy w Bazylice Sacré Coeur w Paryżu

Od 27 listopada do 4 grudnia br. obchodziła emigracja polska we Francji „Tydzień Miłosierdzia Chrześcijańskiego”. Celem jego — w myśl odezwy wydanej z tej okazji przez Rektora Misji Polskiej w Paryżu, ks. dr. Cegiełkę — była nie tylko pomoc materialna dla polskiego duszpasterstwa rolnego we Francji i kresowego w Polsce, lecz również i to przede wszystkim wyproszenie u Boskiego Serca Jezusowego łask Nieba dla wszystkich potrzeb naszej emigracji.

W ramach tego tygodnia odbyła się w niedzielę 27 listopada nocna adoracja mężczyzn w Bazylice Najświętszego Serca Jezusowego na Montmartre w Paryżu.

Wieczór mgławki, dość zimny. Spieszymy się, by zdążyć na czas. Jest godzina 20,45; za kwadrans rozpoczyna się adoracja. Na wprost przed nami, gdzie wysoko wznoszą się blade kontury przeogromnej świątyni. Wysokie jej kopuły toną we mgle. Dziwna cisza wokół. Miasto tonie coraz bardziej w nocnej mgle, a z nim też cała wrzawa stolicy świata. Imi-mo woli, idąc po setkach stopni prowadzących na szczyt wzgórza, duch skupia się, a myśli oderwane od teraźniejszości mkną w przeszłość. Zapomina się na chwilę o Paryżu. A jednak część serca Paryża — jeśli tak rzec można — znajduje się właśnie na tym miejscu, w tej świątyni. I inaczej być nie może. Wszak tu na wzgórzu Montmartre (mons Martyrum — wzgórze męczenników) miano ściąć św. Dionizego, apostoła i pierwszego biskupa Paryża, wraz z jego dwoma towarzyszami św. Rustykusem i Eleuteriuszem. Tu też pogrzebano świętych męczenników. Stał się jednak cud. Bo oto św. apostoł Paryża zmartwychwstał na chwilę i wzięwszy swą odciętą głowę w swe ręce zaniósł ją o kilka kilometrów na północ do St. Denis, dziś przedmieścia Paryża. Pobożny jednak lud paryski postawił na miejscu męczeństwa świętego (Rue St. Antoinette nr 9) kapliczkę, którą odkryto w r. 1611.

Ze szczytem Montmartre łączy się niejedna historia dziejów Francji. Stąd bowiem broniono stolicy i stąd też nieprzyjaciel ją ostrzeliwał. To było kiedyś.

Dziś miasto się rozrosło i piękne wzgórze zagarnęło jako swą własność.

Na jego zaś szczycie postawiono cudną bazylikę Najsw. Serca Jezusowego (Sacre Coeur — czyt. Sakre Keur). Prosta i nie-stara jest historia tej świątyni tak dziwnie przypominającej Kościół św. Zofii w Konstantynopolu.

Rok 1870-71 był straszny dla Francji, lecz straszniejszy jeszcze dla jej stolicy. Na nic się zdała bohaterska obrona na Montmartre (Małmatr). Musiano oddać miasto w ręce najeźdźcy ze wschodu. I wtedy to upokorzony naród ślubował Bogu postawić świą-

W r. 1873 Zgromadzenie Narodowe zatwierdziło budowę świątyni. W trzy lata potem rozpoczęto pracę, którą ukończono przed kilkunastu laty, choć poświęcenie bazyliki odbyło się już 16 października 1919 r. Wpiew jednak, bo 11 listopada 1918 r. białe mury dopiero co wzniesionej świątyni były świadkiem podniosłej chwili. Dnia tego bowiem, kiedy krótko przed obiadem rozkołysały się wszystkie dzwony nie tylko Paryża ale i Francji całej (na wiadomość o zakończeniu wojny światowej), ludność stolicy w pierwszym odruchu radości rzuciła wszystkie zajęcia i pobięła przed tron Boga, do świątyni Sacré Coeur, by tam odśpiewać dziękczynne pokojowe „Te Deum”.

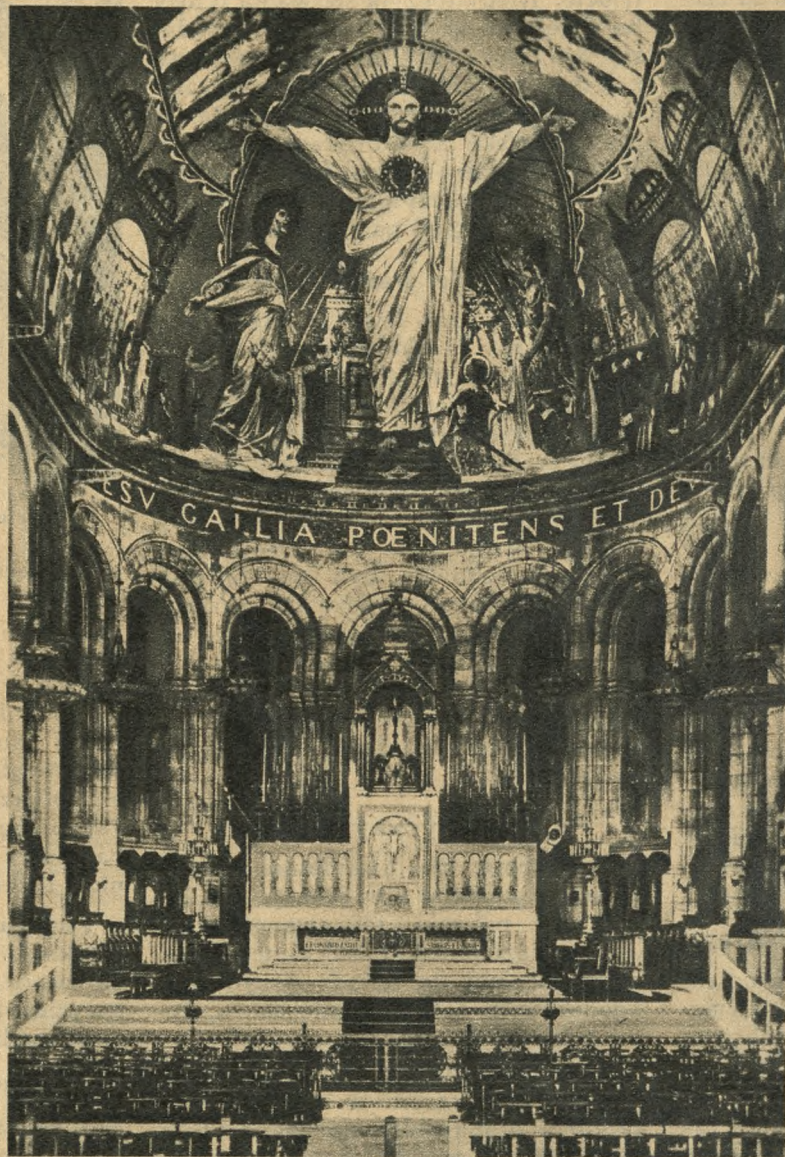
Nic więc dziwnego, że świątynia ta uwieczniła w swym cichym sanktuarium serce religijnego Paryża. Lecz nie tylko religijnego. Bo tu właśnie z tarasów wzgórze otwiera się piękny widok na całe miasto. Nie ma wprost chwili, w której byś nie zobaczył turysty z lornetką przy oku, malarza z paletą w rękę, pisarza zapatrzonego w mgławki przestrzeń. Stąd nie ma przesady w zdaniu jednego z pisarzy francuskich, który określił Montmartre jako miejsce, gdzie wznosi się dusza.

Stajemy przed fasadą Bazyliki. Zegar wydzwania dziewiątą godzinę. Nie słyszeliśmy jeszcze tak jasnego dźwięku. Zresztą ogromny dzwon „Savoyarde” o wadze 18,835 kg (376,33 centnarów) nie licząc wagi jego serca, które waży 850 kg (17 centnarów), jest jednym z największych i najdzwięczniejszych w świecie.

Wchodzimy do świątyni. Za nami został Paryż. Na wprost przed nami na stopie kopuły nad prezbiterium spotykamy się z głębokim wejrzeniem Jezusa. Przyodziały w białą szatę, wstał ze złocistego tronu i, wskazując na swe odsłonięte serce, zda się wzywać wszystkich, którzy doń się uciekają, zda się iść nam naprzeciw... Wyciągnięte jego ramiona głoszą Boskie

Miłosierdzie dla stolicy, dla kraju całego, dla świata.

Lecz wzrok nasz sięga jeszcze dalej, zwraca się ku ołtarzowi, skąd już Chrystus nie z obrazu, lecz z Hostii na nas patrzy. Dwaj srebrni Anieli unoszą w swych rękach monstrancję



Wspaniałe prezbiterium Bazyliki Najświętszego Serca Jezusowego na Montmartre w Paryżu. Przede wszystkim zwraca uwagę olbrzymia postać Serca Jezusowego, zdająca się obejmować cały świat. U stóp Chrystusowych kłęcz bohaterka narodowej Francji Joanna d'Arc. Z boku widzimy postać papieża i św. Genowefy, patronki Paryża, u dołu biegnie wielki napis: Najświętszemu Sercu Jezusowemu Francja, pokutująca publicznie i wdzięcznie. Po zajęciu Paryża przez wojska niemieckie w roku 1872 naród francuski, przejęty kłeską, ślubował wnieść Sercu Jezusowemu na wzgórze Montmartre kościół, jako zadośćuczynienie za oddalenie się od Boga. U stóp wielkiego ołtarza, w kilkadziesiąt lat później, lud francuski śpiewał uroczyste Te Deum w chwili, kiedy wszystkie dzwony kościołów na ziemi francuskiej wieściły zwycięstwo francuskiego oręża w wojnie światowej.

tynię poświęconą Najsw. Sercu Jezusowemu. Zrozumiał, że przyczyną główną wielkiej klęski jest oddalenie się pierwotnej córki Kościoła od Boga. Zbudowanie więc świątyni miało być zewnętrznym wyrazem powrotu marnotrawnego syna do domu Ojca.



Z tarasów wzgórza otwiera się piękny widok na Paryż — stolicę świata. Wydaje się, że to przepyszne, zepsute miasto schyla się kornie do stóp Bazyliki Serca Jezusowego. Do owej Bazyliki wiodą szerokie, wygodne stopnie. Jost ich bardzo dużo. Z powodu bardzo stromej góry wybudowano kolejkę (patrz lewa strona na dole), która zawozi podróżnych na szczyt do wrót kościoła.

na której spoczywa złota, królewska korona Króla nad królami...

Przed ołtarzem białe komże. Polscy księża proszą Pana żniwa o dusze swych rodaków a dla siebie o wytrwanie, świętość, heroizm...

A dalej jeszcze w ogromnych nawach Bazyliki modlą się Polacy: mężczyźni, kobiety, młodzież, dzieci. Te ostatnie w barwnych strojach ojczyńskich. Cisza. Tylko usta poruszają się, a wzrok utkwiony w Jezusa-Hostię. Z niejednych ocz płyną łzy.

Któż wie, może ufniej się modlą, o większe proszą miłosierdzie, bo

większe mają potrzeby duszy i ciała niż bracia w Ojczyźnie i większą, stokroć większą tęsknotę serca za Bogiem, za kapłanem polskim, za Ojczyzną...

Polski kapłan wchodzi na kazalnicę. Zaledwie przed kilku dniami przybył z Ojczyzny, skąd niesie rodakom pozdrowienia serdeczne. A potem przemawia długo, serdecznie, ot tak ze serca do serca. Mówi, że Jezus w Eucharystii, dający się na pokarm wszystkim, że Jezus-Król, królujący nad wszystkimi narodami, jest najgłębszą więzią łączącą wychodźstwo

nasze z Ojczyzną. I każdy słuchał w pobożnym skupieniu, i ci, którzy tylko pacierz umieją po polsku, i ci którzy mimo lat dwudziestu pobytu w obcym kraju rozmawiają jedynie po polsku, bo inaczej nie umieją. Słuchali Polacy ze wszystkich stron Francji. Byli między nimi przybysze z południa, wschodu, północy. Nie zważali na to, że przestrzeń 400 kilometrów dzieli ich od Sacré Coeur, że koszty podróży do stolicy idą w setki franków. Bohaterzy! Lecz nie żalowali ni trudu ni kosztów, bo usłyszeli słowa mocarne i zwycięskie, które zamieniają w czyn!

Chór pod dyрекcją p. Stachowskiego zachwyił swym śpiewem nie tylko rodaków lecz i Francuzów, biorących udział w naszym nabożeństwie. Noc. Zostali tylko mężczyźni. Sam na sam z Chrystusem. I mimo woli przypominają się sceny z życia Mistrza, który w nocy się modlił, choć uczniowie spali...

Dziś jednak czuwają uczniowie, rycerze Chrystusa. Czuwają noc całą. I z większą wiarą i mocą niż przedtem szeptał każdy podczas podniesienia „Pan mój i Bóg mój“. Nie tylko w kościele lecz wszędzie i zawsze w życiu całym... Wreszcie najważniejsza chwila: Komunia święta. Jezus w nas. Jezus-Człowiek, Jezus-Król, Jezus-Bóg.

Zegar wydzwaniał siódmą godzinę rano, gdy opuszczano białą świątynię Paryża. Daleko, daleko na wschodzie wyłaniała się czerwona z powodu mgły kula jesiennego słońca.

Aloizy Miśiak.

# NASZ STÓŁ NIEDZIELNY

W DNIACH 25. XII. 1938 i 1. I. 1939

Przew. Ks. Proboszczu! Kochani wypróbowani przyjaciele naszego pisma!

W dzisiejszym numerze są dwa świadectwa o Przew. Katol. Jedno z środowiska nędzy i buntu, drugie z rodziny inteligentów przejętych troską o mo-

ralne zdrowie naszego społeczeństwa. Jedno nadeszło do redakcji 23. XI. 38, drugie 30. XI. 38. Te dwa świadectwa niech Was, kochani przyjaciele, zachęcają do dalszej apostołkiej pracy nad zdobywaniem nowych abonentów dla Przew. Katol.

Dla propagandy należy wyzyskać dwa numery następne. Jeden i drugi będzie zawierał 32 strony. Jeden i drugi będzie bogato zilustrowany. Numer noworoczny będzie miał z dwoma rycinami

## ŚLICZNY ŚCIENNY KALENDARZ

Jedna rycina przedstawia wzruszającą chwilę z życia królowej Jadwigi, przyszłej świętej Orędowniczki naszego narodu; druga to kopia arcydzieła wielkiego artysty malarza śp. J. Fałata.

Doświadczenie uczy, że jeden i drugi numer każdego roku szczególnie mile są witane w naszych katolickich domach.

Tak numer gwiazdkowy jak noworoczny powinien znaleźć drogę do każdego katolickiego domu. Pokazujcie je znajomym i krewnym! Nie ograniczajcie się jednak do pokazania i zachwalania, ale zachęcajcie do zaabonowania tego najpiękniejszego pisma katolickiego w Polsce! Za 20 gr innego tak doskonałego

pisma nie nabędziecie w Polsce. Każdego roku te dwa numery, mimo bardzo powiększonego nakładu, bywają rozkupione do ostatniego egzemplarza! Niejedna majątniejsza parafia sprawia nawet z tych dwu numerów bezrobotnym parafianom

## GRATISOWY PODARUNEK GWIAZDKOWY

Przesyłajcie tedy zamówienia już teraz. Z ambony, na zebraniach odzywajcie się z zachętą do zakupienia tych numerów i do abonamentu na przyszły kwartał. Stół niedzielny 25. XI. i 1. I. bez Przewodnika nie będzie Stołem Świątecznym.

# Protestanci nie są jedyną ostoją polskości na Śląsku Zaolziańskim

Na Zaolziu protestanci rozwijają ożywioną akcję, która zmierza do tego, by przekonać o tym, że jedyną ostoją polskości na Zaolziu byli oni. Katolicy natomiast mieli rzekomo uprawiać robotę czechofilską. Skutki tej ich akcji już dawają się we znaki. Władze polskie oddają im już kościoły pohusycie (w Dąbrowie) albo w najbliższym czasie oddadzą dlatego, że protestanci rzekomo prędzej husytów spolszczą. Pastory wmawiają husytom, że protestantyzm jest więcej polskim kościołem. Toteż husyci często przechodzą na protestantyzm a nie na katolicyzm.

Prawda historyczna przedstawia się w zupełnie innym świetle.

Niech mówią dokumenty.

Pastor Kotula oświadczył na III zjeździe Związku polskiego towarzystw i zborów ewangelickich w Polsce dnia 7 czerwca 1926 r. w Warszawie w odczycie p. t. „Charakter i działalność stowarzyszeń ewangelickich” między innymi: „Niebezpieczeństwem, które nam protestantom w Polsce zagraża, jest — nasza polskość”.

Sięgnijmy trochę w przeszłość, w czasy, kiedy się miał rozstrzygnąć los naszego kraju, w okres plebiscytowy i w okres pobytu Komisji międzykoalicyjnej w Cieszynie. „Nowy Czas” pisał w nrze 14 z dnia 6. IV. 1919 następująco: „Pisaliśmy już w przeszłym numerze „Nowego Czasu”, którzy ewangelicy księża błagali o przydzielenie Śląska do Polski. Pisaliśmy też, że w tym całym memoriale znajduje się tylko jedna jedyna prawda, która się mimo woli wkradła do tego memoriału, a zwłaszcza, że **Polska nie posiada dziś, jak to było za czasów reformacji, rdzennie polskiej ewangelickiej ludności. Ewangelicy tamtejsi są niemieckimi kolonistami.**

„W tej prośbie napisali też, że polska ludność ewangelicka ze wszystką ludnością Śląska na równi pragnie połączenia z Polską i że się o to modli. Kochani czytelnicy, wiem, że się wam pięści zaciskają, że wam żyły nabrzmiwiają ze złości nad tym przekręcaniem rzeczy, obrażającym was w sposób niesłychany. **Wy, co drżycie ze strachu, żebyście się do Polski nie dostali, bo zacie tamtejsze porządki i stosunki, wy macie się modlić o to, żebyście się do Polski dostali? Toście wy sobie taką zniewagę od waszych duszpasterzy zasłużyli, że oni powiedzą, że się modlicie o to, żebyście się do Polski dostali?**



Mario Barberis

## Rzucić pracę!

Robota wre. Długim pasmem rozwija się tor kolejowy w dalekie przestrzenie. Łączy ojczyznę ze światem. Będzie nowym korytem, którym płynąć będzie do kraju rzeka dobrobytu i kultury. Nagle pada rozkaz: Rzucić pracę! Strajk! Nie wolno pracować! Zjawiają się w momencie przywódcy strajkowi. Towarzysze partyjni. Oczywiście socjaliści i komuniści. Najczęściej

### żydzi jawni lub ukryci.

Ogłaszają terror strajkowy. Najbliższemu wyrwają z rąk łopate. Choćby chciał pracować i zarobić na chleb dla rodziny — nie wolno! Solidarność strajkowa — przymusowa! Wola żyda — przywódcy z ukrycia działającego — sięga dalej. Ramię jego wyciąga się do tych, co pracują na przestrzeni. I oni ulegną terrorowi. Praca stanie. I tu i gdzie indziej. Partyjne bojówki dawno zorganizowane, związane posłuchem, stają u bram fabryk i warsztatów. Nikogo nie puszczają do pracy. Gwałcą przemocą wolność osobistą i prawo. Idą dalej. Zajmują fabryki. Okupacja. Pogwałcenie prawa własności, pogwałcenie porządku publicznego i społecznego ładu. Partyjna wola, partyjny gwałt przewraca prawo, burzy porządek, zagraża prawowitej władzy.

A może dla dobra uciśnionych, może dla dobra państwa?

Dwa państwa, gdzie socjaliści i komuniści rządzą, przeczą temu wyraźnie. W Sowietach, gdzie mają zupełną władzę, robotnikowi nie wolno strajkować. Ci, którzy strajk uczynili swoją największą zdobyczą społeczną i bronią, w swoim państwie go zakazali. A może tam robotnik szczęśliwy? Naprawdę żal tych, którzy jeszcze w to wierzą. Nie wierzy już temu Francja, gdzie dotąd socjaliści i komuniści faktycznie sprawowali rządy i strajkami usiłovali te rządy utrwalić. I właśnie ta Francja, stojąca wskutek zgubnych strajków nad przepaścią, dojrzała wreszcie całe niebezpieczeństwo strajków socjalistycznych i komunistycznych, których celem było nie dobro pracowników, ale walka o władzę! I rząd opanował strajk powszechny.

Strajk w takich warunkach i o takich celach jest burzeniem porządku społecznego i zgubą państwa. Ci, którzy takie strajki głoszą, nie mogą być dobrymi twórcami ani stróżami prawa. Nie nadają się na członków ani do ciał ustawodawczych, ani do ciał samorządowych, gdzie trzeba dbać o prawo i ład w ojczyźnie.

Pamiętajmy, my katolicy, że nie możemy w nadchodzących wyborach wybierać ani socjalistów ani komunistów. Dajmy poparcie ludziom, którzy dobrymi są katolikami, wzorowo i sumiennie wykonują obowiązki swego zawodu i którzy wzorowymi są członkami rodziny, a gminie i społeczeństwu zawodu nie sprawią.

„Przypatrzmy się, co o tej sprawie cyfry mówią: Wszystkich ewangelików w wschodnim Śląsku jest 99 105 dusz.

„Tych, którzy rzeczywiście chcą przynależeć do Polski, nie z własnego przekonania, tylko przez nacisk, namowy i t. d., jest jedna siódma wszystkich ewangelickiej polskiej ludności, a jedna ósma wszystkiej ludności ewangelickiej wraz z Niemcami.

„Przypuśćmy, że w powyższym zestawieniu zakradł się jakiś niewielki błąd, a weźmy zamiast jednej siódmej dwie ósme czyli jedną czwartą, to wtedy jest

jedna czwarta tych, co chcą a trzy czwarte tych, co nie chcą do Polski przynależeć. A ci panowie (kilku nacjonalistycznych pastorów) mają odwagę przemawiać w imieniu całej polskiej ludności ewangelickiej wschodniego Śląska”.

Tak pisał ewangelicki „Nowy Czas”. Wystarczy to? Czy trzeba jeszcze więcej faktów?

Tak wygląda prawda w oświetleniu samych protestantów. A teraz nagle głoszą, że Polska im jedynie zawdzięcza polskość Zaolzia. Dziwne dzieją się rzeczy, prawda?

# Na katedralnej wieżycy

Kiedy przed katedrą, której wieża jak piramida strzelała wysoko pod obłoki, gromadził się tłum i wbił w niebo, wiedziano przeważnie, co się dzieje w powietrznych przestworach. W otworach i wnękach murów katedry miały swoje gniazda gołębie jak w Wenecji, w Kolonii albo na cudownej katedrze Panny Marii (Notre Dame) w Paryżu. Kiedy więc jastrząb zatoczył swoje władce koła, albo sokół, czy krogulec, wtedy wysoko wśród murów katedry rozchodziło się trwożne gruchanie. Jeden z gołębi musiał paść ofiarą drapieżnika, a wybór był wielki. Czekali więc ludziska na ulicy ciekawie na wynik krwawego pojedynku w powietrznych szrankach...

Dzisiaj jednak żaden krogulec nie zataczał swoich kół, żaden jastrząb nie tkwił na rozpiętych lotkach pod obłoczną posową. Nie — to młodzik zuchwały piął się w górę po przewodzie piorunochronu zwinnie jak szympans po bambusowej trzcinie. To widowisko trzymało w szalonym napięciu patrzących, zatykało im dech w piersiach, zadierało ich głowy do góry i wgniatało je w karki... Czyżby to był jaki linoskoczek, a może artysta cyrkowy, który tu chciał się popisać swoją sztuką? Bo pomyślcie sobie: po zewnętrznej ścianie wieżycy piął się ku jej szczytowi śmiałek — chwyt za chwytem, bez raków i lin, bez wytchnienia, silnie, to zwisając na gładkich ciosach, to czepiając się wypukłości żebrowań...

Gdyby spadł, rozbiłby się na miazgę. Niechby mu osłabił wysiłony muskuł, a widowisko zamieniłoby się w krwawą masakrę. Wnet zjawili się policjanci, tym razem po trzech, z listkiem koniczyny na błękitnych mundurach. Powiało chłodem po tłumie jak w dni lodowych świąt. Ale nic nie poradziły jak urzędowe osoby. Jak miały wkroczyć, kiedy ten, którego należało uchwycić, był nieuchwytny. Ramię prawa jest długie — mówi niby przysłowiowa mądrość — ale nigdy nie było krótsze niż dzisiaj.

A młodzik piął się wciąż w górę, płosząc gołębie zrywające się z trzępitem, chwytając się rynien, które złowieszczą trzeszczały, bo katedra była stara a ciosy zwietrzałe i kruche

jak babki z piasku gniecione przez dzieci. Wreszcie zuchwalec dosięgnął szczytowego krzyża. Niezwykły, nadzwyczajny popis, bo wieża mierzyła przeszło sto metrów! Tłum ryknął okrzykami radości, zapustne maski rzucały się do tańca na katedralnym placu i w dziką wrzawę rozpasła się swawola, gdy zdobywca szczytu zaczął kiwać ręką z góry i „jodlować”<sup>1)</sup> w dół i w górę ku żeglującym chmurom i przelatującym gołębom.

Niemożliwe stało się możliwym. Przywilej młodości! A kto pytał o sens tej wariackiej próby siły, ten się wnet tego dowiedział.

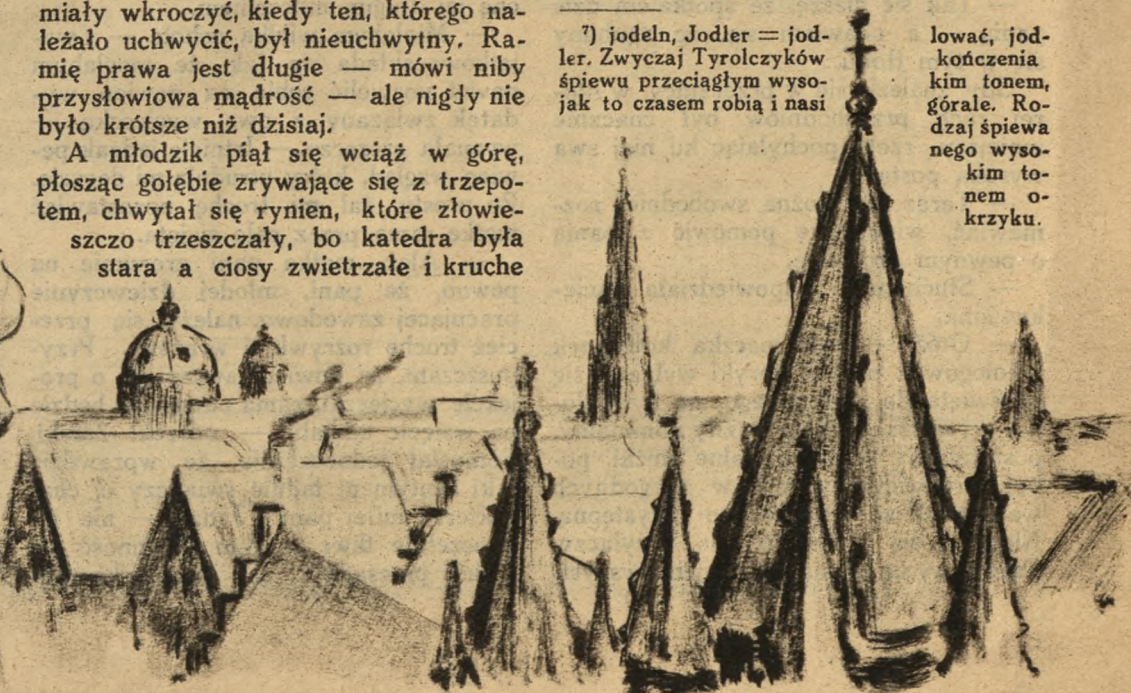
Kiedy szal uciechy zaczął już przelewać się poza brzegi, kiedy policjanci, śmiejąc się razem, płątali się bezradnie i bez celu wśród tego zamętu, zuchwalec zaczął schodzić. To zsuwanie się mogło być jeszcze trudniejsze niż drapanie się w górę. Znowu zawiśla młodzik na żebrowaniach i rynnach. Na placu katedralnym ucichły nawet najłżejsze szepty. Wzięła tłum w moc swoją odwaga, niebezpieczeństwo, pogarda wszelkiej trwogi. Widać było, że szalony śmiałek miał w sobie materiał na bohatera. Kiedy nareszcie chwycił się przewodu piorunochronu, tłum poruszył się z uczuciem ulgi, zmalała obawa i troska, że łobuz może się jeszcze rozbić.

Jak przedtem coraz szybciej i silniej nawijały się nici ciekawości i napięcia, tak teraz odwijają się zwolna, aż wreszcie rozluźniły się napięte do ostateczności nerwy i odgięły się zdarte w tył karki.

Prawie dwie godziny trwał ten kawał. Wieczność dla serc tętniących trwożą. Wariacki alpinista zatrząpał krótko nogami, chwyciwszy się ostatniego gzymsu, a potem zeskoczył na ziemię. W tej chwili ucąpili go „błękitni”. Dł-

<sup>1)</sup> jodeln, Jodler = jodler. Zwyczaj Tyrolczyków śpiewu przeciągłym wysoko jak to czasem robią i nasi

lować, jodkończenia kim tonem, górale. Rodzaj śpiewa nego wysokim tonem o krzyku.



nie krwawiły, bo druty i kamienie nie były wcale delikatnymi przyrządami gimnastycznymi. Na placu katedralnym zagrzmiwały oklaski tłumu, który sfłoczył się w tej dzielnicy jak rzadko kiedy. Burza okrzyków lunęła z tysięcy piersi. Żądano wypuszczenia na wolność tego, który wyżej sięgnął niż najwyższy z jego wielbicieli.

Wtedy bohater wspiął się na ogrodzenie zieleńca koło katedry, poprosił o posłuch i wyjawiał cel swej niebo-siężnej spinaczki. Jest sobie Marcinem Wulperingiem, zwyczajnym czeladnikiem piekarskim, od pięciu lat bez pracy. Nie swawola ani żądza przygód popchnęły go aż ku szczytowemu krzyżowi, lecz tylko zupełna rozpacz.

Chciał pokazać swój mistrzowski kawał. Nieporównanym arcydziełem chciał wstrząsnąć obojętnością beztroskich serc. Bez ćwiczenia, bez przykładu zmierzył niezmierność, nieprawdopodobieństwo uczynił prawdą. W trzeci dzień zapustnych ostatków. W piętnastym roku tych zgnatwanych, powojennych czasów.

Umilkł sfłoczony tłum. Żadna mазskara w pstrym kostiumie nie zrobiła błazeńskiego grymasu, a karnawałowym figlarzom odeszła ochota do zapustnych psot. Mogła sobie tam policja ściągać protokół z zuchwałego czeladnika, a już jakiś mistrz piekarski zgłosił się z gotowością zapłacenia za niego kary i — choć sam był w biedzie —

obiecał zdobywcy szczytów miejsce przy stolnicy i dzieży.

Kroniki miasta zapisują, że ów mistrz dotrzymał słowa. Koledzy Marcina Wulperinga umieli zjednać dla swego kompana majstrów i czeladników. Udało się to jeszcze tego samego dnia. Bo — jak piszą dokumentnie kroniki miasta — jest różnica, czy pijani nienawiścią komuniści — jak to się niedawno stało pod Leiferde — puszczą pociąg w przepaść po rozerwanych szynach, aby ludzkość napełnić przerażeniem, czy też gdy zrozpaczony bliźni wspina się na szczyt nadreńskiej katedry, by się ludzkie serca otwały na jego nędzę.

H. Steguweit

Przeład autoryzowany I. S.

## ŚWIĄTECZNA WYCIECZKA

Jakoś na tydzień przed wigilią, panna Jadzia powracając już nad wieczorem z biura — spotkała najniespodziewaniej w tłoku ulicznym inżyniera Żarskiego. Ucieszyła się tak szczerze, iż przez chwilę wydało się jej, że zbyt widocznie okazuje swą radość. Jednak i młodemu człowiekowi owo spotkanie musiało być również miłe, gdyż patrzył na pannę Jadzię z wyraźną przyjemnością, pytał z zainteresowaniem, jak spędziła ostatnie tygodnie od czasu ich ostatniego widzenia się — i wreszcie zaproponował odprowadzenie jej do domu.

Panna Jadzia mieszkała dość daleko od centrum miasta, w skromnej dzielnicy szarych ludzi. W starym, jakby zapadającym się już w ziemię domku, należącym do jakiegoś ogrodnika, zajmowała wraz z matką dwa małe pokójki z kuchnią. Utrzymywały się obie z nikłej emeryturki wdowiej i Jadzinej pensji, a matka dorabiała jeszcze prawdziwie artystycznym cerowaniem zniszczonych dywanów i tkanin.

Teraz szli oboje główną ulicą miasta, wzdłuż jasno oświetlonych i przybranych odświętnie wystaw sklepowych. Rozmowę utrudniał wzmożony ruch mijających się w pospiechu przechodniów. Toteż w pewnej chwili Żarski ujął rękę panny Jadzi i wsunął pod swe ramię. Spojrzała na niego ze zdziwieniem — więc uśmiechnął się i powiedział wesoło:

— Tak się cieszę, że spotkałem dziś panią — a obawiam się, że zgubimy się w tym tłoku.

Gdy znaleźli się w przecznicy, w której ruch przechodniów był znacznie mniejszy, rzekł pochylając ku niej swą wysoką postać:

— Teraz już można swobodnie rozmawiać, więc chcę pomówić z panią o pewnym projekcie.

— Słucham — odpowiedziała zaciekawiona.

— Otóż — cała paczka koleżanek i kolegów z naszej fabryki wybiera się na święta do Zakopanego, na trzydniową wycieczkę. Koszt jazdy minimalny, postaraliśmy się o specjalne zniżki, pobyt przewidziany jest w wygodnych warunkach za cenę bardzo przystępną. Niechże się pani do nas przyłączy. Zabawimy się wspaniale, użyjemy wszyst-

kich przyjemności prawdziwej zimy — czyż można wyobrazić sobie miłsze święta?

— Tak, tam może być cudownie — odpowiedziała panna Jadzia.

Zamyśliła się. Przed jej oczyma zamajaczyły białe błękitne podniebne szczyty, znane dotąd tylko z kart widokowych, z barwnych reklam „Orbisu”. Skrzący się w słońcu tęczą brylantów śnieg — prawdziwy śnieg, tak niepodobny do tej brudno szarej powłoki, oglądanej na ulicach miasta. Bez troski, wesoły gwar młodych głosów, odbijający radosnym echem od koronowanej ściany niebotycznych swierków. I na tym tle — obecność Żarskiego, tego miłego sercu człowieka, który tak bardzo przecież podobał się jej już od pierwszej chwili poznania... Jaka cudowną kartą, wydartą z księgi cudzego życia, mogłoby być tych kilka świątecznych dni...

Panna Jadzia miała dziewięćdziesiąt złotych uskładanych z trudem i przeznaczonych na kupno wiosennego płaszczka. Ale tak chętnie wydałaby owe pieniądze na tę wycieczkę do Zakopanego... Łatwiej obyc się bez nowego płaszcza niż zrezygnować z tej cudownej okazji która może już nigdy się, nie powtórzy... — ...a matka? — przypomniała sobie nagle — matka, która tak cieszy się na te trzy świąteczne dni...

— Więc jakże, panno Jadziu? Zdecyduje się pani jechać z nami? — zapytał Żarski zniecierpliwiony już trochę jej długim milczeniem.

— Miałabym wielką ochotę — i wyjątkowo składa się tak, że mogłabym nawet pozwolić sobie na pewien wydatek związany z ową wycieczką — wyznała szczerze. — Istnieje jednak pewien wzgląd, który utrudnia mi decyzję. Po prostu, żal mi trochę pozostawiać matkę samą przez całe święta.

— Ależ, matka pani zrozumie na pewno, że pani, młodej dziewczynie pracującej zawodowo, należy się przecież trochę rozrywki i wrażeń... Przypuszczam, że dowiedziawszy się o projekcie wycieczki, sama namawiać będzie na wzięcie udziału — odrzekł Żarski. Pomyślał jednocześnie, że wprawdzie taki sentyment ładnie świadczy o charakterze miłej panny Jadzi — ale jednocześnie tkwi w nim skłonność do jakiejś przesady... Jak można kompli-



Tuż przed wigilią panna Jadzia stoi przy oknie...

kować sobie i tak trudne życie podobnymi względami? Jak można nie umieć korzystać z każdej nadarzającej się okazji wyrwania się z powszedniej szaryzyny...

Inżynier Żarski patrzył teraz na pannę Jadzię z pewnym zdziwieniem. Rzeczywiście — nie mógł zrozumieć jej skrupułów. Może dlatego, że od kilkunastu lat już był sam na świecie, nie posiadał bliższej rodziny, nie potrzebował do nikogo dostosowywać swych planów.

Dochodzili do domu, w którym mieszkała panna Jadzia. Pora była już późna, trzeba było na dziś się rozstać. Żegnając się, Żarski powiedział:

— Niechże się pani jednak zdecyduje jechać z nami... Dla mnie — obecność jej dodałaby wiele uroku całej wycieczce...

— Postaram się wziąć w niej udział. Może uda mi się obmyślić i dla mojej mamy jakieś miłe spędzenie świąt i beze mnie — odpowiedziała już prawie przekonana.

— Więc niech pani rozstrzygnie tę sprawę możliwie prędko. Liczba uczestników jest ograniczona, ale do jutra wieczorem zarezerwuję miejsce dla pani.

— Dziękuję panu. Zatelefonuję jutro po południu.

Uścisnęły sobie ręce. Panna Jadzia wbiegła szybko po skrzypiących schodkach do małej sionki, stanowiącej przedpokój mieszkania. Z przyległej kuchni wydobywał się mocny, korzenny zapach przypraw do pierników. Leciutka woń terpentyny unosiła się nad świeżo zaciągniętą podłogą.

— ...najlepiej — powiem zaraz o tej wycieczce do Zakopanego — myślała panna Jadzia, wieszając w szafie swój płaszcz. Weszła do kuchni i przywitała się z matką, która wskazała z dumą dwie wyjęte właśnie z pieca blachy pełne lśniącego, ciemnego ciasta.

— Patrz, jak ślicznie wyrosły moje pierniki, jeszcze w żadnym roku tak się nie udały... Pewnie bardzo jesteś głodna Jadziu, jakoś późno dziś powróciłaś.

— Przed świętami mamy trochę więcej pracy w biurze — odrzekła Jadzia, myśląc o tym, że właściwie można by na wigilię zaprosić ciotkę Barbarę i matka nie byłaby tak samotna. Najtrudniej tylko zacząć mówić o tej wycieczce.

— Ano tak, przed świętami wszędzie jest więcej pracy — powiedziała matka, przysmażając na patelni pokrajane w plasterki kartofle — i w każdym domu

choćby najmniejszym. U nas już całe mieszkanie jest porządnie sprzątnięte, muszę upiec jeszcze tylko trochę ciasta, a potem odpocznę sobie.

Nakryła serwetką brzeg stołu w sąsiednim pokoju i postawiła talerz z przygrzanym kotletem. Jadzia machinalnie zabrała się do jedzenia. Chciała zacząć opowiadać o swym projekcie wyjazdu — ale coś ją powstrzymywało jeszcze... Może to, że wszystko w malutkim mieszkaniu tchnęło przygotowaniami przedświątecznymi, jakimś skupionym oczekiwaniami czegoś niecodziennego... Więc tak trudno mówić teraz, że chce się uciec od tego wszystkiego...

— Tak się cieszę na te trzy dni świąt — tak mało jesteśmy razem, odkąd pracujesz w biurze — mówiła matka, siadając obok Jadzi. Odpocznijemy obie.

Patrzyła na córkę tak, jak tylko matki patrzeć potrafią — oczyma, które kiedyś były piękne i błyszczące, zanim życie nie wycisnęło z nich wielu, wielu łez.

I nagle — serce panny Jadzi ścisnął jakiś żal. Gasił tamtą gorącą chęć wyjazdu, pragnienie nieznanych wrażeń. Ogarnęła ją wielka, serdeczna czułość

dla tej starej kobiety — dla której nadchodzące święta byłyby bez niej tylko szarymi, pustymi dniami, bez cienia radości.

— ...nie pojedę — nie powiem nic o tym projekcie... i niech mama nie dowie się nigdy, że i ja poniosłam dla niej jakąś ofiarę — pomyślała.

O zmroku, tuż przed wigilią, panna Jadzia stoi przy oknie i patrzy na prószący, srebrzysty śnieg. Myśli o tym, że Żarski już wczoraj wieczorem wyjechał do Zakopanego, że tam pada może taki sam biały puch.

W kuchni matka kończy już ostatnie przygotowania do skromnej wieszery. Stół jest nakryty najlepszym obrusem, w kącie pokoju mała choinka pachnie jakimś dalekim lasem.

Czyjeś kroki skrzypią pod oknem na śniegu, ktoś ciągnie za stary, zardzewiały dzwonek. Z niechętnym zdziwieniem panna Jadzia podchodzi do drzwi.

Inżynier Żarski mówi swym jasnym, młodzięcym głosem:

— W ostatniej chwili złożyło się tak, że i ja nie mogłem wyjechać... Ale nie martwię się już — skoro zastałem panią w domu... *Maria Jasińczyk*

## RÓŻNE WIADOMOŚCI

**Uprawnienia i przywileje Cerkwi prawosławnej w Polsce.** Dziennik Ustaw (z dnia 19 XI. b. r. Nr 88) zamieścił dekret P. Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 18 XI. b. r. o stosunku Państwa do „Polskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego”. Na podstawie Konstytucji (art. 115) stosunek Państwa do uznanych związków religijnych ustala się w drodze ustawodawczej po porozumieniu się z ich prawnymi reprezentacjami. Nie jest to zatem układ o charakterze umowy międzynarodowej, jak to ma miejsce z Kościołem katolickim, lecz uregulowanie stosunków przez Państwo z Kościołem prawosławnym następuje jednostronnie w drodze ustawy.

Uprawnienia, jakie otrzymała Cerkiew prawosławna w Polsce na podstawie dekretu są bardzo szerokie. Nie było do pomysłenia, aby te swobody i samodzielności mogła mieć Cerkiew prawosławna w carskiej Rosji, gdzie przecież była wyznaniem „panującym” w państwie. Na tle tego liberalizmu polskiego jakże przykro wygląda tolerancja religijna w tych krajach, gdzie prawosławie jest w większości. W Jugosławii wskutek oporu Cerkwi prawosławnej rząd i katolicy (stanowiący 40 proc. ogółu ludności) nie mogli przeprowadzić ratyfikacji konkordatu. W prawosławnej Grecji stosuje się wobec katolików prawa wyjątkowe! W Rumunii obrządek greckokatolicki narażony jest na stałe przesładowania ze strony Cerkwi prawosławnej.

Dekret o Cerkwi Prawosławnej, która otrzymała obecnie nazwę „Polskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego”, w wielu miejscach jest wzorowany na konkordacie ze Stolicą Apostolską. Uprawnienia prawosławia i duchownych tego wy-

znania w niektórych punktach są nawet szersze aniżeli prawa duchowieństwa katolickiego. Tak np. na mocy konkordatu organicy przy kościołach nie pobierają żadnego wynagrodzenia, tymczasem dla psalmistów przy cerkwiach prawosławnych przewidziane jest uposażenie (art. 64 Dekretu). Cerkiew prawosławna w Polsce otrzymuje wreszcie ważny przywilej: mieć będzie własnego wojskowego biskupa prawosławnego, który wejdzie w skład synodu (art. 65 dekretu). Jeżeli się zważy, iż greko-katolicy w Polsce, niewiele mniej liczni niżli prawosławni (10,4 proc. gr.-kat. i 11,8 proc. prawosławni według spisu z r. 1931) nie mają własnego biskupa polowego — uprzywilejowanie prawosławnych nie będzie ulegać wątpliwości. W Jugosławii 40 proc. ludności katolickiej — warto to podkreślić — nie ma wojskowego biskupa katolickiego, a jednocześnie prasa tamtejsza lubi narzekać na rzekome uposzczenie prawosławia w Polsce. Z tych pobieżnych uwag widzimy, że dekret, normujący stosunek Państwa Polskiego do Cerkwi prawosławnej owiany jest duchem szerokiego liberalizmu. W niektórych punktach ta dziesiąta część mieszkańców Polski jest w daleko korzystniejszym położeniu, niż przynajmniej katolickich obywateli.

### Książki nadesłane

**Ks. Mgr Edward Warmiński.** U podstaw chrześcijaństwa. Poznań 1938, stron 130. Niezwykle to ciekawa książka dla inteligencji, omawiająca hipotezy powstania chrześcijaństwa. Wobec niezłomnych granitów religii chrześcijańskiej kapitulują mocarze pióra tej miary co

Renan, Ludw. Bauer, Drews, Niemojewski, Brandes, Harnack i im podobni. Naprawdę cenny to nabytek i miły podarek gwiazdkowy na stole wigilijnym dla polskiego inteligenta.

### Złoty jubileusz powołania zakonnego.

Matka Stanisława Dankowska, Prowincjalka Prowincji Polskiej ze Zgromadzenia Sióstr św. Elżbiety w Poznaniu, obchodziła Złoty Jubileusz Zakonny. Jubilatka, pod której wytrwałym i umiejętnym kierownictwem wzrosła znacznie liczba Sióstr Elżbietanek,



w czasach zaborczych szerzyła i podtrzymywała ducha polskiego wśród sióstr i społeczeństwa. W czasie najazdu bolszewickiego z wielkim poświęceniem pielęgnuje naszych żołnierzy. Od roku 1929 obejmuje urząd Przełożonej Prowincjalnej z siedzibą w Poznaniu. Za jej czasów powstało 8 szpitali, 5 przytułków, kilka zakładów specjalnych, Dom Polski w Jerozolimie itd. Zasłużonej Jubilatce Redakcja Przewodnika Katolickiego składa serdeczne życzenia obfitych łask Bożych na dalszą, jak najowocniejszą pracę.

**„Pismo Wasze prawdziwym jest błogosławieństwem dla naszych wielkomięjskich ośrodków nędzy i buntu. Gdzie już żadnej książki religijnej wsadzić nie możemy, tam sięgamy po Przewodnik Katolicki! A tego chwytają zawsze z radością i jeszcze o niego się upominają!”** *Amelia Starowieyska*

Pismo to zawierające bardzo wielką pochwałę dla Przew. Katol. odebraliśmy 28. XI. 38 z Krakowa, z Zarządu Biblioteki dla Bezrobotnych, ośrodka duchowej jałmużny roznoszonej po barakach i tanich kuchniach.

# WARUNKI KONKURSU

Z wydrukowanych i umieszczonych w ostatnich kilku numerach Przewodnika Katolickiego 8 obrazków — należy odgadnąć sposób wypiekania niedrogiego a bardzo smacznego ciastka. Przepis ten a więc: składniki ciastka i ich stosunek, oraz sposób robienia

ciasta opisać jak najkrócej na pocztówce i przesłać pod adresem: **Redakcja Przewodnika Kat., Poznań, Aleje Marcinkowskiego 22 „Konkurs — ciastko“.** Uwzględnić się będzie tylko rozwiązania nadesłane na kartce pocztowej — listy nie będą wcale otwierane.

Za trafne rozwiązania konkursu wyznacza Redakcja następujące nagrody:  
**1. nagroda 30 zł**  
**2. nagroda 20 zł**  
**3. nagroda 10 zł**  
**oraz 10 nagród książkowych po mniej więcej 5 zł.**

## Skarpetki wełniane

Na wykonanie skarpetek należy kupować wełnę w dobrym gatunku, by później w noszeniu i praniu nie filcowiała się, gdyż wełna zbiegnięta nie grzeje nogi.

Ważnym czynnikiem jest także sposób prania wełny: skarpetki prać i płukać należy tylko w letniej wodzie, — nigdy w cieplej ani zimnej! Suszyć z dala od pieca!

Na skarpetki męskie należy kupić 150 g wełny i komplet pięciu drutów stalowych nr 9.

Skarpetkę rozpoczyna się od góry, nabierając na nogę szczipłą 80 oczek, zaś na nogę tęższą lub z wełny cieńszej 88 oczek. Po rozdzieleniu w równej ilości na cztery druty, przerabia się piątym drutem cholewkę bieżącą w okrąg ścięciem rowkowym, t. j. dwa oczka w prawo, dwa w lewo. Należy uważać, by w następnych okrążeniach oczka prawe wypadły nad prawymi a lewe nad lewymi.

Po przerobieniu tym ścięciem 27 cm zrobić jeszcze pięć okrążeń gładko i rozpocząć piętę.

Piętę jako miejsce narażone najczęściej na tarcie, robi się ścięciem podwójnym, przy którym na przemian jedno oczko się zdejmuję tylko, bez przerabiania wkluwając w nie z góry, a drugie przerabia gładko.

Pierwszą część pięty czyli tak zwaną łatkę, robi się na dwu drutach nawrotami, pozostawiając dalsze dwa druty na razie na uboczu. Na brzegu tej łatki należy zrobić brzeg którym by pięta odcinała się od reszty stopy jak widać na rysunku. Na brzeg ten składają się dwa oczka robione w lewo i jedno oczko brzegu. To jedno oczko na początku rzędu nie przerabia się,



nych poprzednio na uboczu i po dojściu do drugiego boku pięty nabrać i tam taką samą ilość oczek, przerabiając na ten sam drut pozostałe oczka pięty.

W dalszym ciągu pracuje się znów na czterech drutach w okrąg gładko. Z dwu drutów od strony przodu pończochy należy przesunąć po dwa oczka na druty od strony pięty, mają one więc obecnie więcej oczek niżli przednie druty. Ten nadmiar oczek będzie się gubiło stopniowo przez co utworzą się kliny przegubia jakie widać na rysunku. Gdy więc pracując wokół dojdziemy do boku stopy, wzgl. do pierwszego drutu pięty, należy pierwsze jego dwa oczka gubić w stronę lewą, jak opisano poprzednio. Po przerobieniu drugiego drutu gubi się na przeciwnym boku w stronę prawą, t. j. przerobić dwa oczka w prawo.

W ten sposób gubi się w każdym trzecim okrążeniu, póki ilość oczek na wszystkich drutach nie będzie równa. W dalszym ciągu robi się gładko. Normalna Rys. 1 skarpeta powinna mieć od bocznego szwu pięty aż



8. obrazek konkursowy

kie oczka w lewo, prócz dwu oczek po bokach, które tu przerabia się w prawo.

Łatkę tę przerabia się 32 razy wzwyż tak, że na każdym boku wypadnie 16 oczek brzegu.

By uzyskać zagięcie przypadające pod spód pięty czyli t. zw. napiętek, rozliczyć oczka łatki na trzy części, lecz pozostawić je jak były na dwu drutach. Gdy przerabia się łatkę po stronie lewej, przerobić razem — także w lewo — ostatnie oczko części środkowej i pierwsze oczko części bocznej, po czym zaraz robotę odwrócić na stronę prawą, pierwsze oczko zdjęć i dalej robić część środkową ścięciem podwójnym jak łatkę. Ostatnie oczko części środkowej zdjęć, pierwsze części bocznej przerobić gładko i oczko zdjęte nasunąć na nie, czyli, że gubi się w stronę lewą. W tym miejscu znów robotę odwrócić. W dalszym ciągu odejmować tak na przemian po obu bokach, póki nie zgubi się ostatnich oczek jednego i drugiego boku, także oczek brzegu.

O ile ostatnie gubienie nie wypadło na lewym boku napiętka, należy przerobić jeden rząd, by nitka znalazła się na lewym boku napiętka, po czym zacząć w oczko brzegu, przeciągnąć nić i oczka pozostawić na drucie. Tych nowo nabranych oczek powinno być na jednym boku 16. W dalszym ciągu przerobić oczka na drutach pozostawionych poprzednio na uboczu i po dojściu do drugiego boku pięty nabrać i tam taką samą ilość oczek, przerabiając na ten sam drut pozostałe oczka pięty.

W ten sposób gubi się w każdym trzecim okrążeniu, póki ilość oczek na wszystkich drutach nie będzie równa. W dalszym ciągu robi się gładko. Normalna Rys. 1 skarpeta powinna mieć od bocznego szwu pięty aż

## Pierniki „na pędce“ na miodzie sztucznym

Ponieważ w tym roku prawdziwy miód jest bardzo drogi — podaję przepis na pierniki robione na miodzie sztucznym — nie różniące się mimo to w smaku zupełnie od prawdziwych pierników.

$\frac{1}{2}$  kg sztucznego miodu rozpuszczamy w rondelku i gotujemy przez 5—10 minut z 2 paczkami korzeni. 4 szklanki suchej pszennej mąki mieszamy z 1 szklanką cukru miłkiego i 1 łyżeczką sody czyszczonej (natronu) lub kto woli z solą rogową (potaż).

W tak wymieszaną mąkę wlewamy gorący miód z korzeniami i doskonale wyrabiamy drewnianą kopyścią. Gdy ciasto jest już jednolite, wlewamy 125 gramów roztopionego masła i wyrabiamy ciasto w dalszym ciągu, a kiedy już przystygnie, dodajemy cztery całe jaja i wyrabiamy dalej, póki ciasto nie wymiesza się dokładnie. Teraz możemy dodać do ciasta różnych przysmaków jak: cykuta, skórka pomarańczowa lub t. p. Tak przygotowane ciasto należy rozwałkować na stolnicy, wytwarzać dowolnego kształtu pierniki i zaraz je piec w dobrze ciepłym piecu.

Ciasto to nadaje się również do wypieku tak zw. pakowalców, to znaczy rodzaju torcików piernikowych nadziewanych bakaliami. Można je także szprycować jak herbatniki. Pierniki te po upieczeniu lukrujemy i na drugi dzień są już dostatecznie miękkie do użytku.

### Lukier cytrynowy

$\frac{1}{2}$  kg mączki cukrowej ucierać z 2 białkami przez 45 minut, wpuszczając po trosze sok z 1 cytryny. Gdy się utworzy gęsta biała masa, lukrować nią pierniki i strucle. M. Sz.

do pierwszego gubienia przy palcach 15 do 16 cm.

Gubienie oczek wypada na bokach stopy. W jednym okrążeniu gubi się zawsze cztery razy, przy czym dwa przedostatnie oczka drutu gubi się w prawo, ostatnie oczko przerobić gładko. Na następnym drucie 1 oczko gładko i gubić w stronę lewą. Po drugim boku gubić tak samo. Gubić należy w następującym porządku: raz po pięciu okrążeniach, raz po czterech okrążeniach i raz po trzech okrążeniach. Następnie cztery razy w każdym drugim okrążeniu, wreszcie w każdym okrążeniu, póki na drucie nie pozostanie 8 oczek, które zebrać na dwa druty i przerabiać równocześnie jedno oczko z jednego i drugiego drutu razem. Ostatnie cztery oczka zebrać końcem wełny i zaszyć tak samo jak nić początku. Zofia Branschowa



Rys. 2

ścieg podwójny

Maria Czeska-Mączyńska

# Powieść o sercu kobiety

3)

— Ty nie umieraj, Ewo! Ewo!

I Ewa odczuła, jak mokra od łez twarzyczka Basi przytuliła się do jej policzka.

— Basia cię prosi, nie umieraj...

I nie umarła. Światła zagasty, drogi wiodące w nieskończoność zniknęły, przestała skrzypiec podłoga pod niewidzialnymi stopami i spłynął na nią sen krzepiący i dobry, z którego zbudziła się przytomna.

A teraz miałyby zapomnieć tego wszystkiego, przekreślić te lata radosne razem przeżyte i wszystko, co je łączyło, i dla kogo?

Dla jednego mężczyzny.

Dla obcego, który nagle wszedł w ich życie, i który może bawi się nimi, jak one niegdyś bawiły się lalkami.

Nie, nie zrobię ci krzywdy, mała, dobra siostrzyczko.

Tyle jest miejsca na świecie, każda z nas może iść swoją własną drogą.

Tylko pracy! Boże, pracy!

Porwała się z łóżka. Zimna jak lód woda przyniosła ulgę jej rozpalonym powiekom.

Cudowna, błogosławiona woda!

Zdawała się zmywać senność, rozleniwienie, smutek, a darzyć energią i siłą. Wycierała twarz ręcznikiem i uśmiechała się do matki.

— Dzień dobry, mamusiu. Jak pysznie pachnie kawa!

— Dzień dobry, kochanie. Ojciec bardzo źle spał dzisiaj w nocy. Nie wiem, czy to mięso na noc... Może za wiele dałam cebuli, a może to na tę zmianę. Ojciec zawsze źle sypia, jak ma być zmiana. Przewracał się biedak z boku na bok. Ja też zupełnie wybiłam się ze snu. W końcu zaczęliśmy rozmawiać. I tak jakoś zaczęliśmy mówić o oczach ojca. Wiesz, Ewo, był w ubiegłym tygodniu u lekarza, specjalisty. Podobno z tymi oczami nie jest jeszcze tak źle, ale trzeba by, żeby się ojciec leczył, wzmocnił, a potem dopiero mogła by być operacja. Lekarz mówi, że mógłby znowu widzieć. Pomyśl, Ewo... — Otarła łzy fartuchem. — Ale nie ma za co... Gdyby dawny ksiądz proboszcz żył, poszłabym do niego, jak do ojca, pomógłby z pewnością. Ale ten nowy ksiądz kanonik, taki dziwnie daleki. Zawsze mi się zdaje, że jak z człowiekiem mówi, myśli o czym innym. Bardzo podobno wybitny uczony, ale ludzkiego serca nie zna. Zresztą i tak wiele dla nas zrobił, nie śmiałabym już nawet prosić o więcej. Ale, Ewo, pomyśl, że ojciec mógłby znowu widzieć.

Przelknęła łzy i uśmiechnęła się:

— Będę się modlić do Matki Bożej Niepokalanej. Czasem się człowiekowi wydaje, że wszystko jest takie bez nadziejne, takie niemożliwe do spełnienia, a tu nagle Pan Bóg sprawi, że wszystko się na dobre obróci i staje nagle takie dziecinnie łatwe i proste. Tylko trzeba mieć taką wielką, dziecięcą uf-

ność i wierzyć, że jeżeli Bóg zechce, to odmieni.

— Co się może zmienić w naszych warunkach, mamusiu?

— Może jaka scheda spadnie, może wygram na loterii.

— Przecież losu nie masz.

— Tak, nie mam losu. Zawsze mam zamiar kupić i nigdy się na to jakoś zebrać nie mogę. Ale może sobie o nas jaka bogata krewna przypomni. Mielismy przecież bogatych krewnych, tylko nigdy o nas nic wiedzieć nie chcieli. Ale jak Bóg zechce, to nawet takie ztwardziałe serce odmienić może. Basia może wyjść za mąż, ty dostaniesz posadę. Słowem, od jutra może być lepiej.

— Tak, od jutra może być lepiej... — wolno powtórzyła Ewa.

— Może odniesiesz te chusteczki siostrze księdza kanonika. Basia je skończyła. Śliczne literki, prawda?

— Po dwadzieścia groszy.

— A wstąp do kościoła, kochanie.

— Dobrze, mamusiu.

Wypiła kawę stojąco, pośpiesznie włożyła granatową beretkę na ciemne włosy i wyszła. Ogarnęło ją czyste, wonne powietrze, w którym już można było odróżnić cierpki zapach wędnących liści. Lipa za kościołem osypała już złoto drobnych liści na seledynową patynę miedzianego dachu. I znaczyła się wieża kościelna ostrymi liniami na tle pogodnego błękitu nieba.

Przed proboszczówką dalej mieniły się wszystkimi odcieniami purpury i złota.

A w powietrzu drżały już srebrne nici pajęczyny. Czepiały się liści, mchów na gorących płytach i ciemnej sukienki Ewy. Nawet posagi świętych nad kościelną bramą oplotła migotliwa pajęczyna.

W kościele też zalewa słońca wpływała przez barwne witraże i rozpalala na kamiennej posadzce tęcze. Poza tym kolorowym blaskiem postać księdza u ołtarza zdawała się jakąś wizją zaświatową.

Cichutko śpiewały organy.

Michał zdawał się bawić tonami, jak kuglarz. Wznosiły się, opadały, wybuchaly, to zamierały, buntowały się i kochały.

I nasuwały myśli dziwne, z ziemią związane.

Życie wołało w jego muzyce i szalała dusza ludzka, nie mogąca znaleźć drogi do swojego Boga, do ciszy i ukojenia.

Ewa wiedziała, że gdyby spojrzała w stronę chóru, zobaczyłaby jego smagłą twarz, rozgorzałą rumieńcem głębokiego wzruszenia, rozchylone usta i oczy płomienne, i że wtedy nie potrafiłaby już skupić myśli w modlitwie, bo zabrałby je bez reszty.

Więc ukryła twarz w dłoniach i usiłowała się modlić, tak jak mówiła matka, z pełnią ufności i wiary.

Nie prosić, nie błagać, poddać się

Bożej woli, która najlepiej wie, co dobrym jest dla człowieka.

„Weź mnie w opiekę i nie opuszczaj!

Daj zdrowie i szczęście tym, których kocham.

I daj mi siłę woli i pokorę, dobroć i równowagę.

Abym nie szła w dół ścieżkami zatracenia, ale wznosiła się z każdym dniem w górę, Twoim śladem.”

Drgnęła, ktoś szeptał jej nad uchem wnikliwym, cichym głosem:

— Niech panienka wyjdzie. Przepraszam, że przeszkadzam, ale mam coś bardzo ważnego.

Podniosła oczy. Chyliła się nad nią tęga postać kobieca. Małe, podpuchnięte oczy patrzyły na nią z wyrazem trwogi i prośby razem.

Było coś w tej twarzy dziwnego.

Groza czegoś niewypowiedzianego, a dopiero co przeżytego.

Ewa podniosła się z kolan, przeżegnała się i wyszła przed kościół.

— Skąd ja znam tę kobietę? — myślała — widziałam ją już kiedyś, ale kiedy i gdzie? Taka pospolita twarz, trudno sobie ją zapamiętać, bo spotyka się takich tysiące. Spojrzała uważniej i jednak przypomniała sobie. Tak, to była gospodyni Janki Prońskiej. W jej kuchence Janka odnajmowała kąt. Ewa była tam kilka razy i raz czy dwa spotkała się tam z właścicielką mieszkania.

Z czym ona do niej?

Ogarnął ją dziwny, przeczuciowy niepokój. Przystanęła przed wejściem do kościoła i zapytała:

— Czy to Janka panią przysłała? Stało się coś?

Tamta rozwarła usta, ale nie zdołała nic powiedzieć. Chlipnęła tylko, chowając twarz w chustkę.

— Niech panienka ze mną idzie, po drodze opowiem. Panna Janka truła się dzisiaj w nocy. Teraz tam przy niej lekarz. Nie robi nadziei, lecz może zdążymy jeszcze. Po księdza też prosiła, żeby wstąpić. Byłam, a potem po panienkę, bo jej była z koleżanek najmilsza. Nie wiem, czy ją do szpitala przewiozą, czy w domu zostawią... Kłopot taki, ale to nic. Lubiałam ją, była taka cicha, spokojna, zawsze tylko nauka, zawsze tylko książki. O Jezus! Wiem, ciężkie miała życie. O tym chlebnie z herbatą przeszła całe seminarium. Że to temu sił starczyło. Nieraz coś poddać chciałam, bo sama nie mam dużo, ale serce bolało nad tym głodowaniem. Lecz była ambitna i nie chciała ludzkiej litości... Od przedwczoraj była już taka jakaś zgaszona i widziałam, że popłakiwała do poduszki. Nie wtrącałam się, no bo każdy człowiek ma takie chwile, gdzie mu ciężko i najlepiej się do tego nie wtrącać, to samo przejdzie. Ale wczoraj przyszły matka i ciotka ze wsi, to wydziwianiu końca nie było: a że to tyle nauka kosztowała

i wciąż jeszcze posady nie ma, że dożyć gęb w domu na chleb czeka, a tu jeszcze jej trzeba do miasta donosić, że niedorajda musi być i dlatego miejsca dostać nie może. Ot, jak to na wsi, jak córkę wyuczają, to by chcieli z niej zyski ciągnąć, a nie dodawać. Mówiłam jej potem: Niech się panna nie martwi. Panu Bogu oddać, nie czekać, tylko do jakiej innej pracy się wziąć. Na służbę bym poszła, albo do sklepu i łatwiej by to czekanie na posadę przeszło. Panienska, mówię, w suchoty wpadnie i tyle będzie pociechy. A ona na to: — Żeby Brodzka wiedziała, co się ze mną dzieje... Sił już nie mam ani woli do życia.

Westchnęła i przyspieszyła kroku.

— No i nie miała. W Boga, to tam ona nie bardzo wierzyła, w siebie tylko. A takiemu człowiekowi, to i najciężej, bo jak mu co dolega, to znikąd nie ma pomocy, ani ucieczki. Sam jest z tą swoją mądrością, a ta mądrość taka jest przecie zawodna. Jakies się jej tam przewroty śniły, jakies komuny, rozmaici ludzie do niej przychodzili w ostatnich czasach i przez to do wsi wracać nie chciała, tylko się tego miasta trzymała. No, i miasto ją zjadło... Położyłam się spać, ona jeszcze czytała przy świeczce, bo to w naszej piwnicy elektryki nie ma. A w nocy słyszę, jęczy. Myślałam, że ją z głodu żołądek boli. Pytam: Panno Janko, czy panna chora? A ona: Nic mi nie jest, niech

Brodzka śpi. No i spałam. A rano to ona nawet już mówić nie mogła, tylko oczy miała pełne łez i jęczała: Księdza! Sprowadziłam sąsiadki, zatelefonowałam po Pogotowie, poleciałam po księdza i po pannę, bo i panny wołała... Ale czy ją jeszcze zastaniemy żywą... Takie to młode i tak się zmarnowało.

Ewa milczy, zbyt jest wstrząśnięta, by mówić. Zdaje jej się, że ze zdławionej krtani nie byłaby w stanie jednego wydobycić dźwięku.

Idzie śpiesznie obok zasapanej Brodzkiej. Przez ulice tętniące porannym ruchem urzędnicy śpieszą do biur, robotnicy do fabryk, dzieci do szkoły. Mija je uśmiechnięta seminarzystka... Rok temu z takim samym radosnym uśmiechem szły i one w życie, a teraz jedna z nich załamała się, poszła na dno.

Pierwsza...

Czy ostatnia?

Kamienica na przedmieściu, karetka pogotowia przed bramą i tłum gapiów. — Pewno się ta znowu z miłości truła.

— Moja pani, co za czasy! Młode to takie i już to za trucizną łapie, wytrzymałości to nijakiej ni ma, moja pani.

A ktoś inny, wycierając nos hałaśliwie:

— Raz kozie śmierć.

Śliskie schody, prowadzące w dół. Zna je Ewa, zbiegała nimi już kilka razy, ale nigdy nie wydały się jej takie ponure, jak gdyby do grobu wiodące.

— Ostrożnie, panienko, można przepaść, tak tu u nas ciemno.

Ciemny, piwniczny korytarz, woń stęchlizny i gnijących jarzyn i jabłek z piwnicy pana radcy, drzwi na prawo otwarte, a przed nimi grupa żywo szepczących kobiet.

Właśnie wychodzi doktor młody, barczysty, zatrzymuje go Brodzka.

— To moja lokatorka, panie doktorze, jakże ta z nią?

— Żle.

— Zabierzecie ją do szpitala?

— Nie ma po co... Za kilka minut będzie po wszystkim. Zrobiłem, co mogłem, ale za późno mnie pani wezwiała.

— Można tam do niej?

— Jest tam właśnie ksiądz...

I młody doktor przepycha się przez tłum kobiet i spojrzawszy w szeroko rozwarte, pełne grozy oczy Ewy, bezmyślnym ruchem poprawia krawatę i myśli:

— Pewno koleżanka tamtej... ładna. I tamta też musiała być przystojna, życie ją zjadło. Taka młoda, szkoda... Gdyby człowiek miał się wzruszać każdą pacjentką, sił by nie starczyło. Słusznie mówi profesor: u łóża pacjentki lekarz nie może sobie pozwolić na ten zbytek, by się czuć człowiekiem. To wytrąca z równowagi.

Zbyt jednak jest jeszcze młody, by się nie wzruszał. Nie zdążył jeszcze opanować nerwów ani zakuć twarzy

## List starego Macieja

*Niech będzie pochwalony*

*Jezus Chrystus!*

Po ukazaniu się mojego listu do służebnych dziewcząt jako pierwszy zgłosił się do mnie stary mój przyjaciel Marcin i z pobłażliwym uśmiechem na ustach tak mi prawi: — Czytałem twój piękny projekt, raczej plan przyszłego schroniska i wielkiej szkoły gospodarczej dla dziewcząt, lecz wątpię bardzo, czy otrzymasz wiele listów ze zgłoszeniem się „pszczołek z miodem”, czyli starszych dziewczyn, które swe oszczędności chciałyby umieścić w wielkim wspólnym domu i zabezpieczyć sobie spokojny kącik i utrzymanie do końca życia. Nie pomoże też opis doli „wazszej” Marysi i twój apel, aby się zgłaszały młodsze dziewczęta, które by chciały oszczędzać grosiwo na późniejsze wkupienie się do wspólnego „ula”.

Niedowiarstwo Marcina mnie oburzyło, toteż pytam o jego powody. A ona to: — Trzeba znać życie i naturę kobiecą. Chociaż w biedzie i poniewierce, lecz kobieta woli własny kącik, niż dom wspólny, a jakże! Twoje dobre rady i projekty odniosą zapewne ten sam skutek, co rady dobrych i doświadczonych rodziców. Gdyby ich dzieci chciały słuchać, ileż by to było mniej nieszczęśliwych małżeństw!

— Ależ, mój Marcinie, ja się też odezwałem do dobrych „dzieci”, które swych rodziców słuchają i cierpliwie

czekam na odezwanie się tych licznych rzesz pracownic domowych, które na serio myślą o swej przyszłości, o których tak życzliwie i ze serca starał się ich zmarły, wielki Opiekun. Gmach — schronisko i szkoła zarazem powstać musi z własnych, zapracowanych funduszy, bo to ma być dom własny tych pracowitych, nieraz na stare lata poniewierających się „pszczołek”. Czekam cierpliwie i z ufnością na zgłoszenia, a tymczasem trzeba mi odpisać na liczne, otrzymane liściki w sprawie moich pierwszych „listów”...

Dużo wrzawy narobił Rózi projekt podatku „polskiego”, którego wpływy miałyby stanowić zapomogę dla małżeństw obdarzonych licznym potomstwem. Panna Józia spod Poznania koniecznie domaga się opodatkowania gołębi, „przez co uniknęłoby się wiele kłótni, wyzwisk przekleństw, obrazy Boskiej i procesów, a wynik opodatkowania przyniosłoby dużo tysięcy do skarbu „polskiego”, a posiadacze ogrodów i pól uniknęliby najrozmaitszych szkód, wyrządzanych przez stada gołębi, bo byle jaki parobek czy lokator trzyma kilka par gołębi, które bezustannie przesiadują w cudzych ogrodach i polach, a gdyby mieli płacić podatek... Niech jeno kochany Maciej dobrze te gołębie wykropił!”

Tak pisze p. Józia, a głos jej nie jest odosobniony. Widzę z tego, że te „niewinne” gołąbki przyniosłyby niejedną potrzebny tysiączek dla „bogaty” w

dzieci rodziców. Może o takim podatku pomyślą nasi panowie posłowie w Sejmie.

Plan Rózi wielce przypadł do gustu p. N. N. spod Obrzycka, który stracił posiadłość w niemieckim majątku, chociaż był pracowitym i sumiennym urzędnikiem, ponieważ jako wzorowy obywatel polski nie umiał obojętnie patrzeć na sprawy narodowo-polskie. Dzisiaj obarczony liczną rodziną, p. N. N. cierpi niedostatek. Doznaje on ze strony Konferencji Pań św. Wincentego à Paulo pewnej opieki, lecz większość obywateli katolików odnosi się do nich z pewną jakąś niechęcią i apatią, dokuczliwymi docinkami tego rodzaju jak: „Po co mają tyle dzieciarów? Gdyby ich mieli mniej, nie byłoby u nich takiej biedy...” Mały fundusz zakładowy, uzyskany z podatku „polskiego”, umożliwiłby mi założenie samodzielnego warsztatu pracy...

Pan N. N. żali się też na swe dorosłe dzieci, z których kilkoro zarabia na swe utrzymanie, lecz pomimo otrzymanego dobrego katolickiego wychowania, nie troszczą się o dolę swych biednych rodziców i rodzeństwa i owe dobre dochody zużywają na własne potrzeby.

Tak się żali zacny p. N. N. i wierzy i ufa w miłosierdzie Boskie, chociaż nieczule serca bliźnich sprawiają mu wiele przykrości.

Niestety samoluby, którzy tylko widzą koniec własnego nosa, nieraz w niemądry sposób ujemnie oceniają

w wyrazie niczym nie zmaconej pogody asystenta śmierci. Żal mu tego młodego życia i czuje całą małość swojej wiedzy.

Chciałby odetchnąć głęboko, a wciąż w płuca przesycone wilgocią powietrze piwnicy.

— Ta, miała przecież i tak grób za życia. Takie mieszkania to hańba ludzkości. Jak tu można żyć, chować dzieci. Tak, w sąsiedniej piwnicy muszą być dzieci. Dochodzi ich krzyk a oto teraz jakieś maleństwo drobne, zabiedzone, o twarzyczce zielonej i opuchniętej wpada młodemu doktorowi pod nogi. Błękitne oczy tępe i bojaźliwe, patrzą w obcą, życzliwie uśmiechniętą twarz młodego lekarza. A jego oczy zatrzymały się na nogach maleństwa. Wrzód na wrzodzie, czerwone plamy, otwarte owrzodzenia ciekące zieloną ropą, rozdrapanie miejscami do krwi... I to tymi brudnymi paluszkami o czarnych paznokciach.

Zapomniał o tamtej umierającej, bo całą duszą uzalił się nędzy żywego, nie za swoje winy cierpiącego maleństwa. W słabym świetle, ciekącym przez okienko korytarza, ogląda nogi dziecka, podniósłszy je mimo protestu, w górę.

A potem zwraca się w stronę gromadki kobiet:

— Która tu matka? Z tym dzieckiem trzeba iść do poradni, oddać do szpitala. Jak mogliście tak zaniedbać?

to największe bogactwo, które posiada Polska w małżeństwach z licznym potomstwem. Toteż dla nich przydałby się podatek „polski“, również dla tych niedobrych dzieci, które zapominają o czwartym przykazaniu Bożym, a mianowicie o tym znamienym dodatku, którego my pierwsi się w szkole uczyliśmy: „Czcij ojca swego i matkę swoją, jeżeli chcesz, aby ci się dobrze działo i abyś długo żył na świecie“. O tym niech pamiętają dorosłe dzieci pana N.N. i wiele innych...

Pani Maria ze Śremu w swym liście wytoczyła „ciężką kolubrynę“, że „nie trzeba stałe straszyć ludzi wojną i niezgodą, ale raczej winniśmy nawoływać do pokoju i zgody. Dzieci należy mieć nie dlatego, aby je potem na wojnę posłać, gubić i tracić w bitwach, ale na to, aby wyrósłszy na szlachetnych ludzi, szerzyli myśl Chrystusową“... Nie przekonało mnie — pisze — twierdzenie, aby mieć jak najwięcej dzieci. Toć przecież w katechizmie powiedziane jest, że celem małżeństwa jest „wychowanie“ dzieci, a nie posiadanie większej ilości. Nie wyszukujemy nowych podatków, nie trwoniśmy tylko bez zastanowienia grosza publicznego, a na wszystko starczy“.

W dalszym ciągu swego listu pani M. się oburza, że po dzisiejsze czasy tak wiele kradzieży, defraudacji, cudzołóstwa, zdrady, obmowy i to wszystko ze strony tych samych katolików, którzy w niedzielę zapełniają kościoły, tłoczą się przy konfesjonalach, na piersi swej noszą różne odznaki katolickich stowarzyszeń, a mimo to zachowują

Matka, młoda kobieta o pospolitej powierzchności, wydziera mu dzieciaka, pełna oburzenia.

— Do szpitala! Wicie, żeby mi go tam zakatrupili. Nie potrzeba mi wszystkich lekarstw, żarcia mi potrzeba. Co mu pomoże szpital, jak potem wróci znowu do tej piwnicy przekłetej, do głodu i nędzy? Ma tu żyć, to niech go Pan Bóg zabiera jak najprędzej. Tu dla nikogo nie ma życia.

— W szpitalu będzie miało wasze dziecko jedzenie, powietrze i słońce, podleczy się i wróci silniejsze.

— Dobrze się panu gada, a potem, przyzwyczaj się do lepszego to mu jeno gorzej będzie.

Młody doktor nie znajduje odpowiedzi. Na cóż się zda ratunek, lekarstwo, kiedy czeka powrót do tej samej piwnicy, do tych samych strasznych warunków zdrowotnych.

Gdyby był bogaty, stworzyłby dla ozdrowieńców przedszkole w głębi lasów świerkowych, na słonecznych zboczach gór. Gdyby był włodarzem państwa dażyłby do tego, by każda rodzina miała jasne, słoneczne mieszkanie. Niechby to był jeden tylko pokój czy kuchénka, ale sucha, widna, pełna słońca, nie schron zwierząt jaskiniowych, ale dom godny człowieka. Nie byłoby może takich małych męczenników, nie byłoby tyle występków i zbrodni i komunizm nie miałby do ludzi takiego ła-

puszkę w sercu i duszy! Widocznie za mało się wysilają, by współpracować z łaską Bożą!!

Brawo, Pani Mario! W zupełności się podpisuję na ostatnie wywody. Niestety różnimy się w zapatrywaniach na „straszenie ludzi wojną“ i na następne zagadnienia. Odkąd świat istnieje i dokąd istnieć będzie, wojny mu groziły i grozić będą. Toteż nie straszenie, lecz przypomnienie tej grozy i obrony przed nią jako naszego świętego obowiązku jest zadaniem w chwilach poważnych, które co dopiero przeżywalimy.

Oczywiście nie jest jedynym celem mieć i wychowywać dzieci, aby je „gubić i tracić w bitwach“, lecz w czasie niebezpieczeństwa utraty wolności i Ojczyzny dzieci nasze stanowią żywy mur ochronny. Dusze i serca ich, przepelnione szlachetnym ideałem miłości Ojczyzny, wyrwać się będą ku obronie wspólnej Matki-Polski. A któż stanie w Jej obronie, jeżeli samolubne społeczeństwo stanie na tym stanowisku, że nie „ilość“ lecz „wychowanie“ dzieci jest zadaniem małżeństwa? Nie samo „wychowanie“, lecz także ilość obrońców i ich zapał stanowią będą o zwycięstwie i o pokoju na ziemi.

Lecz nie nasze to rządy, Szanowna Pani Mario! Pozostawmy określenie ilości P. Bogu, a wszystko będzie dobrze, bo On każdemu tyle daje ciężaru, taki wkłada krzyżyk na ramiona, jaki one zdolne są unieść, chociaż nieraz z wielkim trudem i mozolem.

Pani Maria pisze o zbytecznych nowych podatkach, a jednak podatek „polski“ zaprowadzono już w wielu innych

twego dostępu. Cóż może się ulegnąć w takim wiecznym mroku, wilgoci, w takim poniżeniu? Nienawiść tylko, choroba i zbrodnia.

I on nie byłby wtedy asystentem śmierci, ale mógłby być wysłannikiem życia.

Marzenia ściętej głowy.

Asystencina śni o przewrocie.

Jego spojrzenie błąka się po twarzach kobiet. Są złośliwie uśmiechnięte, są i skupione i smutne. Spotyka wreszcie oczy Ewy.

— Niech pani przemówi tej matce do sumienia, zabija własne dziecko. Pani może łatwiej posłucha Szpital, to przecież nie zakład „zakatrupiania ludzi“ ale placówka zdrowia. Niech jej to pani wytłumaczy. Kobiety to lepiej potrafią, a to dziecko potrzebuje leczenia i czystości.

W mrok korytarza wychodzi ksiądz. Mały chłopak niesie latarkę, zapaloną jeszcze, bo łatwo się pośliznąć w tym korytarzu wilgotnym.

Chylą się wszystkie głowy.

Ewa nie zdążyła odpowiedzieć, bo Brodzka ujmuje jej rękę.

— Już można, chodźmy do niej.

I Ewa idzie.

Za nią wpływa tłum kobiet z korytarza. Ktoś rozpoczął modlitwę za kornających.

(Ciąg dalszy nastąpi)

bogatszych i kulturalnych państwach i nazwałby go można „podatkiem miłości bliźniego“. Pisze Pani tak serdecznie i przekonująco o obowiązkach dobrego katolika, który je spełniać powinien nie tylko w kościele i przy konfesjonale, lecz przede wszystkim w życiu społecznym, aby pokój w Bogu i w miłości zapanował na świecie! A jakże ten pokój Boży ma zapanować, jeżeli braknie nam tej miłości, Bożej, poświęcenia zbytku dla ulżenia skrajnej nędzy, która nas otacza?

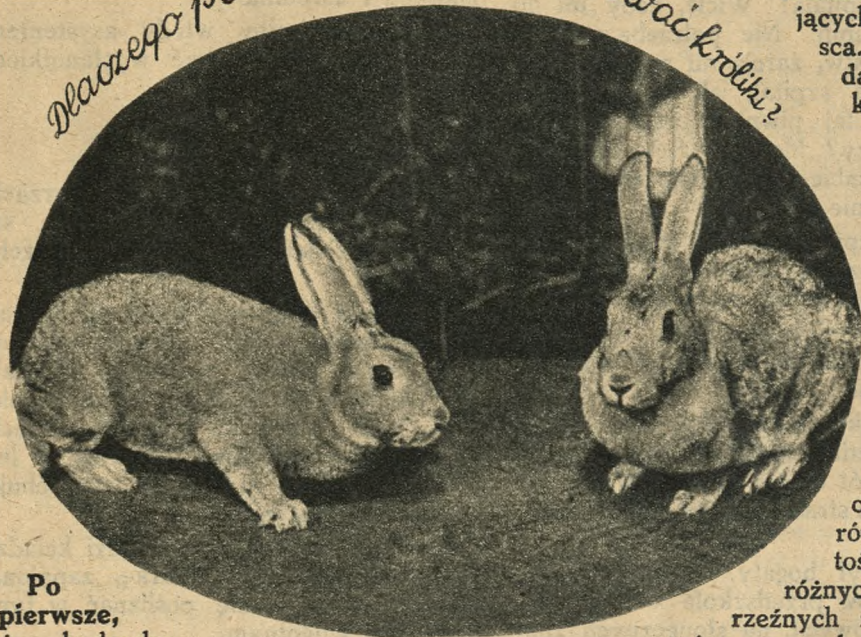
Panna Hanusia spod Obrzycka, zawodowa „pszczołka“, nadesłała wierszyk o stosunku pani do służki i na odwrót. Wierszyk zawiera wiele pięknych myśli, lecz forma niedostateczna nie pozwala na ogłoszenie pracy p. Hanusi, której go listownie zwracam, dziękując za pamięć.

Zgłosiła się do mnie p. Cesia z Ostrowa, posiadająca pierwszorządne polecenia i dobre fachowe wiadomości. Poza tym p. Cesia ma dobre serduszeko i chciałaby ulżyć strapionej Kuńdzi i zająć u niej stanowisko pomocnicy domowej. W międzyczasie Kuńdzia jest już zaopatrzona, lecz o p. Cesi nie zapomnę i ją polecę, kiedy tylko się dowiem o jakiejś szczerzej, religijnej, katolickiej rodzinie, potrzebującej uczciwej służki, bo na takie miano Cesia zasługuje.

Za serdeczne słowa uznania dla naszego kochanego „Przewodnika“ i dla moich listów ze serca dziękując, wszystkim Przyjaciół Bogu poleca

Maciej Kropiciel.

*Dlaczego powinniśmy hodować króliki?*



Po pierwsze, że hodowla królików jest bardzo łatwa i zajmować nią mogą się dzieci.

Po wtóre dlatego, że króliki wyżywić można przy małym nakładzie kapitału, bo króliki są niewybredne na paszę i zjadają odpadki pozostałe z jarzyn przyrządzanych w kuchniach, odpadki chleba, ziemniaków itp., a tylko małe ilości otrąb i siana trzeba dla nich dokupić, jeśli się nie posiada własnego kawałka ziemi. Posiadając jednak ogród, możemy je z niego wyżywić.

Po trzecie, dlatego winniśmy hodować króliki, że pomieszczenie dla nich

znajdzie się z łatwością w piwnicy, chlewiku lub specjalnych klatkach nie zajmujących dużo miejsca. Po czwarte, dają nam duże korzyści materialne.

Możemy bowiem mieć z nich dobre i ciepłe futerka, nawóz dla ogrodu, a przede wszystkim bogate w składniki odżywcze mięso. Porównując wartość odżywczą różnych gatunków

różnych zwierząt, na pierwszy plan wysunąć

musimy mięso królicze, które posiada aż 40,15% składników odżywczych a 59,15% wody. W porównaniu do mięsa króliczego mięso kurze ma 31% składników odżywczych, mięso wieprzowe 27%, wołowe i cielęcina 24%.

Powyższe liczby wskazują wyraźnie, jak doskonałym pod względem odżywczym jest mięso królicze, tak rzadko podawane na stół przez nasze gospoście. Oczywiście, że wartość i smak mięsa króliczego zależne są od żywienia królików, które prócz zieleniny mu-

szą otrzymywać paszę objętościową, jak otręby i owies.

Ponieważ mięso królicze jest mięsem dietetycznym (delikatnym) dla chorych, dzieci i rekonwalescentów (wyzdrowieńców), a gospodynie niejednokrotnie twierdzą, że króliczyna ma niemiły zapach, więc chorzy jej jeść nie chcą, zwracam uwagę, że niemiły zapach mięsa powstaje przez nieumiejętne obchodzenie się z zabitym zwierzęciem. Natychmiast po zabiciu królika należy ściągnąć z niego skórę i wyciąć oba gruczoły szarawego koloru, położone w okolicy odbytu. Gruczoły te należy wyciąć nawet z częścią okalającego je mięsa. Ani odrobinki szarego gruczołu nie należy zostawić przy mięsie, raczej wyciąć więcej mięsa, aniżeli narazić całość na przykry zapach. Po usunięciu gruczołów, wycina się pęcherz moczowy, uważając, by ani kropla nie opadła na mięso. Przynercza, znajdujące się w okolicy nerek, należy również wyciąć. Gdy zaraz po zabiciu królika w wyżej podany sposób, go oczyścimy, nikt nie będzie się żalił na zły smak lub zapach króliczyny, a mięso to stanie się nie tylko potrawą mięsną, ale wprost przysmakiem. Zaznaczam jeszcze, że mięso królicze nie powinno się moczyć, albowiem nasiąka wodą. Po oczyszczeniu królika lepiej oczyścić je czystymi szmatkami i zawiesić aż do chwili kiedy ma przyjść do garnka. Wtedy dopiero należy go wymyć w wodzie i zaraz kłaść albo na tłuszcz lub też zalać go wodą, gdy ma być gotowany w zupie.

(h)

## Aby zapobiec rozszerzającej się zarazie...

### Jak zapobiec drzewieniu kalarepy, selerów itp. warzyw.

Przy przecinaniu kalarepy, selerów, rzodkwi itp. warzyw zauważamy bardzo często, że jarzyny te są zdrzewiałe, tykowane albo często puste. Wydajemy sąd, że to albo stare warzywo, przejrzałe, albo też zwiędłe. Tymczasem tak nie jest, bo nawet na polu, gdy warzywo to jeszcze należycie nie wyrosło, stwierdzić możemy te same wady.

Co jest przyczyną tego? Położenie gleby nie odpowiadające wymaganiom danych jarzyn, no i warunki atmosferyczne — oto odpowiedź. Rzodkiew i kalarepa np. wymaga gleby osłonecznionej i pulchnej, zasobnej w próchnicę. Korzonki tych roślin bowiem są krótkie i tuż pod powierzchnią muszą znajdować pożywienie. Pod te warzywa zaleca się zatem przekopać ziemię płytko, by urodzajnej warstwy jałową glebą nie zasypać. Jarzyny te bowiem muszą rosnać prędko, a na jałowej ziemi rosną wolno, — więc są mało soczyste i tykowane.

Nawóz wywieziony zimą należy z nastaniem pierwszych ciepłych dni płytko przekopać lub przyorać. Tak

często stosowane nawożenie ziemi gnojówką nie jest wskazane dla warzyw, gdyż wskutek płynnego nawożenia, jarzyny te strzelają w liście a nie formują bulw; bulwy natomiast przez polewanie ich korzeni gnojówką pękają.

Omawiając powyżej sprawę wad warzyw korzennych, nie mogę pominąć i innej bolączki szerzącej się po naszych warzywnikach. Plamiste ogórki, rdzewienie pietruszki, chropowatość marchwi, robaczywienie groszku itp., to wszystko są przyczyny zaniedbań właścicieli warzywników. Skoro ziemia co roku rodzi, musi się z czasem wyczerpać z zapasów, zwłaszcza, jeśli na jednym miejscu uprawiane bywają co roku te same rośliny. Naturalnym objawem jest, że rośliny ulegają zachorzeniu, a nie usunięte zaraz z ziemi, zakażają ją. Zakażenie to przenosi się na inne zdrowe rośliny, obejmując coraz to szerszy krąg swego szkodliwego działania. Rezultatem tego — wadliwe warzywa.

Ażeby więc zapobiec rozszerzającej się zarazie lub też w ogóle ustrzec

rośliny przed zarazą, musimy od czasu do czasu warzywniki nasze i ogrody należycie wydezynfekować (odkazić), by przez to pozabijać wszystkie bakcyle, szerzące choroby ziemi i roślin. Do dezynfekcji używamy palonego wapna, które wywozimy do ogrodu najpierw na kupy, okrywane ziemią, a przy nadającej się pogodzie wapno to rozsypujemy na powierzchnię warzywników, zaorując je płytko. Bardzo dobre wyniki przy odkazaniu gleby zwłaszcza w sadach wykazała formalina, którą się stosuje w początkach zimy, najdalej jednak do połowy lutego.

Rozczyn formaliny może być 5—10% i wylewany bywa od 3—5 litrów na 1 mkw. powierzchni.

Odkazanie ziemi formaliną jest wskazane zwłaszcza tam, gdzie w starych sadach — między starymi drzewami, wysadzone zostały młode drzewka. Doświadczenia, jakie w tym kierunku były przeprowadzane w Anglii i Szwecji, dały bardzo dobre rezultaty.

Ch.

# Z TYGODNIA: Granice Francji z Niemcami są „ostateczne“

## Mowa min. skarbu w sejmie

była, jak zawsze, bardzo szczegółowa i nader ciekawa. Dowiedzieliśmy się, że w stosunku do r. 1935 przyrost wytwórczości przemysłowej podniósł się w Polsce o 42%, gdy we Włoszech o 7%, w Anglii o 13%, w Niemczech o 35½%. Społeczeństwo nasze, które przez tyle lat stroniło od handlu i przemysłu, nagle zwróciło się w tę stronę. Tu i owdzie urzędnicy prywatni, inżynierowie porzucają dobrze płatne posady i otwierają placówki gospodarcze. Dochody społeczeństwa wzrosły: w r. 1938 wykazano dla urzędów miejskich 691 milionów zł dochodu (w r. 1936 — 500 mil.), dla urzędów z ludnością wiejską 386 (w r. 1936 284 mil.). W COP'ie w 7 powiatach dochody wzrosły od 62% (w Mielcu) do 196½% (w Tarnobrzegu). Na robotach publicznych zatrudniono 350 tys. bezrobotnych.

## Ceny zboża poprawiają się

Dotąd wywieźliśmy lub mamy umowę na 200 tys. ton żyta, jęczmienia i mąki na wywóz. Rząd opracował 25-letni kredyt hipoteczny dla rolników tak ułożony, żeby umorzenia roczne i odsetki nie wynosiły więcej niż 5% sumy dłużnej. Min. skarbu

## jest przeciwny rozdymaniu wydatków.

Posuwamy się — powiedział — niezmiernie szybko, nawet w porównaniu z Włochami lub Rzeszą. „Pod górę można iść krokiem mocnym i wielkim, ale nie należy biec i skakać... Polska przy moim współdzieleniu z drogi tej nie zejdzie“.

## Zamierzenia 15-letnie

Min. Kwiatkowski zapowiedział, że w r. 1939—1942 położą się główny nacisk na obronę i przemysł obronny państwa. Razem w tym trzydziściu wyda się na to miliard 200 milionów złotych. W roku 1942—45 wydawać się będzie

## Przewodnik to nie gość w naszym domu...

„Już dawno i po wiele razy chciałam to napisać, ale jakoś przy mej pracy nauczycielskiej nie znalazłam na to czasu.

Mój mąż i ja jesteśmy czytelnikami „Przewodnika“ od najmłodszych naszych lat. „Przewodnik“ — to nie gość w naszym domu — to członek naszej rodziny... Stół niedzielny bez „Przewodnika“, to nie stół świąteczny. Tak było zawsze, jak tylko pamięcią sięgać możemy. Od czterech lat mieszkamy w ... Toteż zdziwiłam się po moim przyjeździe dotąd, i z przykrością stwierdziłam, że stosunkowo bardzo mało abonuje się tutaj to tak cenne pismo.

Zaszła teraz zmiana na lepsze, odkąd ks. Prefekt zaczął to pismo propagować. A bardzo jest ono wśród tutejszego społeczeństwa potrzebne! Poruszane w „Przewodniku“ zagadnienia religijne, moralne, społeczne itd. i sposób ich naświetlania zmienia z pewnością niejedną błędną kierunek myślenia... Błędny, jeżeli się patrzy z punktu widzenia katolickiego. Powieścią Miłaszewskiej — krótko powiem — jestem zachwycona. Taką literaturą powinny się karmić nasze panienki, a nie „powieściskami“ Curths-Mahler itp.

Poruszane tak pięknie zagadnienie morza polskiego otworzy niejedne oczy na tę stronę gospodarczą Polski i w niejednym sercu obudzi umiłowanie tego morza, a tym samym skieruje myśli, uczucia, zainteresowania ku szlachetniejszemu celom.

Słę wyrazy serd. pozdrowienia J. P.

głównie na koleje, drogi, samochody, Gdynię. W roku 1945—48 na oświatę i lotnictwo. W r. 1948—51 na dalsze uprzemysłowienie, w r. 1952—54 na zatarcie różnic między Polską wschodnią a zachodnią pod względem gospodarczym. Wydatki na te cele płyną z innych źródeł, nie budżetowych, a więc z pożyczek.

## Różne mowy

Czołowi przedstawiciele O.Z.N. (gen. Skwarczyński, Wenda, Lepecki) pragną śmielszych poczynań, tak, aby znikło bezrobocie.

Posłowie niezależni poruszali różne sprawy: adwokat Stoch z Lublina mówił o stosunku min. skarbu do opozycji, ks. Lubelski o wsi, jen. Żeligowski o polityce zagranicznej i trosce o człowieka, poseł Dudziński mówił o lożach masońskich: niedość zamykać żydowskie, „trzeba by od razu przeciąć wszystkie, przede wszystkim polskie“.

## Burzę wywołała zapowiedź

Ukraińca Mudrego, że wniesie ustawę o autonomię dla ziem, gdzie mieszkają Rusini. Na to poseł Ostrowski ze Lwowa: „Chętnie wyciągamy rękę do zgody z bratnim narodem ruskim, ale Ukraińcy muszą zrozumieć, że od 1000 lat los skazał nas na wspólne pożycie i nikt tego nie zmieni“. Mówca jest przeciwny autonomii.

## Włochy pożądamy...

Min. Ciano wyjawiał w parlamencie włoskim, że we wrześniu Włochy zmobilizowały część floty i armii na granicy francuskiej. Podnieceni posłowie wołali: „Tunis, Korsyka! Nicea!“ żądając oddania tych ziem lub miast Włochom.

Tunis jest państwem arabskim od r. 1881 pod opieką francuską. Jest mniejszy o połowę od Polski a ma dwa i pół miliona mieszkańców. W Korsyce w r. 1768 rzeszopolita genueńska oddała Francji; na Korsyce urodził się Napoleon. 40 tys. Korsykanów oddało życie za Francję podczas wielkiej wojny, Nicea leży w Sabaudii; w r. 1860 Napoleon III dostał od Włoch część Sabaudii (2 departamenty) za to, że pomógł Włochom zwyciężyć (w r. 1859) Austriaków.

nie pozwól, by głodne i zziębnięte były dzieci bezrobotnych. Złóż ofiarę na Pomoc Zimową!

## Odpowiedzi redakcji

Czech ze Śląska. „Czechostowacja nie chciała rozlewu krwi; za to Pan Bóg błogosławił jej będzie. Naród mój czeski nie zginie — tak prorokowała św. Libusza!“ Za list serdecznie dziękuję. Niech Pan będzie przekonany, że życzenia wszystkich Polaków katolików idą najzupełniej po linii tego, przez Szana. Pana wygłoszonego prorocтва.

Samochodiarz. Samochód używany: Cofnięcie licznika lub wbudowanie innego licznika z mniejszą liczbą kilometrów jest zwykłym oszustwem; udowodnione, winno być sądownie karane. Uczciwa firma katolicka takich oszustw mieć się nie powinna.

Księżę kołnierzyki! Będziemy kupowali tylko te, które pochodzą z Kiekrza lub z firmy warszawskiej Jezuitowski Czarniecki. Inne kołnierzyki duch., choćby nawet arcykatolickie nosiły nazwy — nie są katolickiej proveniencji.

W sprawie Krzyża i Medalu Niepodległości. Z przedstawionych wniosków w liczbie ok. 300,000 Komitet uznał za słuszne nadanie około 1,800 Krzyży z mieczami, około 35,000 Krzyży i około 51,000 Medali, razem około 88,000 odnaceń. Nadsyłanie obecnie nowych wniosków bezcelowe. Wyjątek stanowi powstanie za Olzą.

## Do naszych abonentów pocztowych!

W czasie od 20 b. m. do 10. I. 1939 r.

przyjmują listowi zlecenia na abonament pocztowy na I kwartał wzgl. miesiąc styczeń 1939 r. Prosimy zgłosić się odwrotnie do listonosza, który za kwitmem pocztowym zainkasuje prenu-

Francja słusznie może być rozgoryczona tym wołaniem posłów faszystowskich. Właśnie niedawno przybył do Rzymu nowy poseł francuski i uznał panowanie włoskie nad Abisynią. Ale apetyt wzrasta w miarę jedzenia. Włochy chcą osiąść Tunis, aby utrudnić w razie jakiejś wojny połączenie Francji z Algierem.

## Niezręczna obrona

Francja uważa żądania faszystów za zamach na swoje władztwo kolonialne. Niestety, nie może wybrnąć z położenia, bo zawiera Niemcom, zamyka oczy na Europę wschodnią i podpisuje z Ribbentropem, wysłannikiem Hitlera, jakby układ przyjaźni. Oba rządy stwierdzają, że ich granice są ostateczne. W razie trudności (z powodu Włoch np.) będą się porozumiewać. Niemcy wtedy narzucają się Francuzom na pośrednika. I co na tym Francja zyska?

Naszym zdaniem nic a nic. Anglicy donoszą nawet, że żądania faszystów były zawczasu przygotowane z wiedzą niemiecką. Anglia wprawdzie potępia żądania włoskie, które grożą angielskim interesom na m. Śródziemnym, ale nie chce zrywać z Włochami. W takiej chwili przykrej dla Francji Chamberlain zamiast odwołać swój przyjazd do Rzymu, owszem spieszy się rozmówić z Mussolinim po Nowym Roku. Włochy po zaborze Austrii i części Czech przez Niemcy, czują się pokrzywdzone. Chcą sobie straty powetować na Francji. A Niemcy nie mogą uchodzić za przyjaciół Francji, skoro ich ochotnicy walczą bok Włochów, technicy zaś niemieccy zakładają ponoć lotniska w północnej Hiszpanii bliżej granicy francuskiej. W dodatku pisma niemieckie oburzają się na Francuzów protestujących na Korsyce i w Tunisie przeciw rostriacjom włoskim!

merate złotych 2,30 na kwartał wzgl. 0,80 na miesiąc. Zwracamy specjalną uwagę na zniżkę przy zamawianiu na cały kwartał z góry.

Podczas długich wieczorów zimowych nie powinno zabraknąć „Przewodnika“ w żadnym domu. Niech więc każdy wznowi przedpłatę!

Pod opaską z Administracji miesięcznie również 0,80 zł, kwartalnie 2,40 zł.

Kto nie zamierza pisma abonować w przyszłym roku, winien nas o tym powiadomić przed upływem bieżącego miesiąca. Kto tego nie uczyni w terminie, będzie otrzymywał pismo nadal i będzie zobowiązany do pokrycia należności za dostarczone numery.

## Kalendarz liturgiczny

18. XII., niedz., *fiol.*, IV niedz. Adwentu, nie ma Gl., 2. modl. do Matki Boskiej, 3. modl. za Kościół lub papieża, Cr., Pref. o Trójcy św.

Św. Graecjan, bp Tours we Francji, † ok. 300.

19. XII., poniedz., *fiol.*, msza św. jak wczoraj, 3. modl. „Fidelium“, 4. modl. za Kościół lub papieża.

20. XII., wtorek, *fiol.*, wigilia św. Tomasza, nie ma Gl., 2. modl. z IV niedzieli Adwentu, 3. modl. do Matki Boskiej, nie ma Cr., Pref. ogólna.

21. XII., środa, *czervw.*, św. Tomasz, apostoł, głosił ewangelję m. Terapi i Ludwach, gdzie został uwięziony, przeszyty włócznią. Gl., 2. modl. z 4. niedz. Adwentu, Cr., Pref. o apostołach.

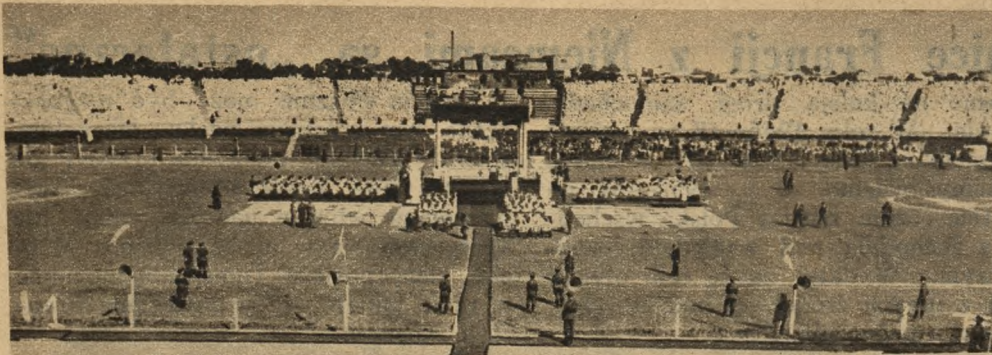
22. XII., czwartek, *fiol.*, msza św. jak w IV niedz. Adwentu, jednak bez Gl., Pref. ogólna.

23. XII., piątek, *fiol.*, msza św. jak wczoraj.

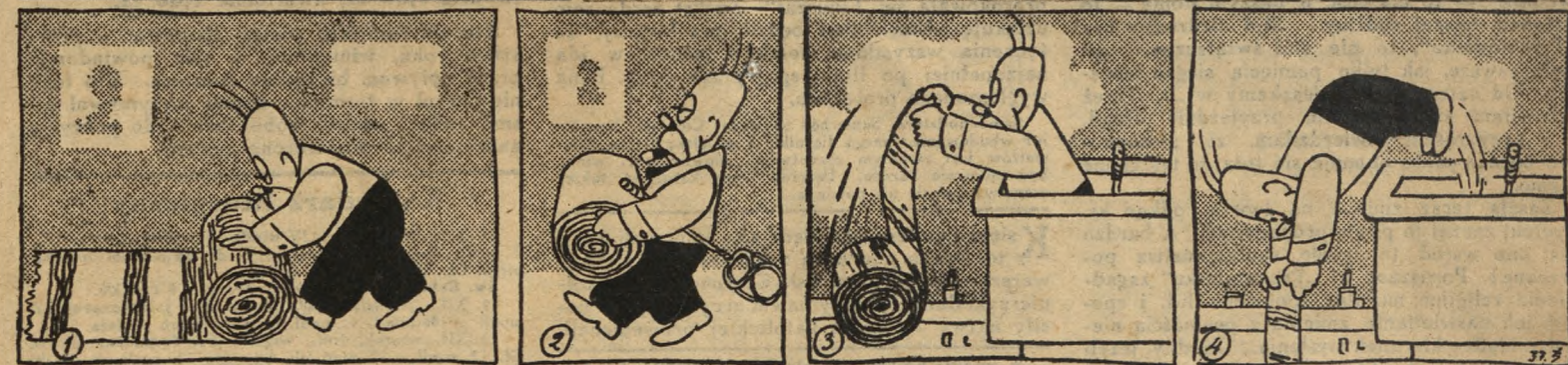
24. XII., sobota, *fiol.*, wigilia Bożego Narodzenia, msza własna.

## Adoracje N. S.

18. Dembica. 19. Jabłkowo. 20. Janówiec. 21. Kłetko. 22. Kołdrab. 23. Łagiewniki. 24. Łopienno.



1. Ogólny widok stadionu w Montevideo (stolica Urugwaju w Ameryce Półd.), gdzie odbył się III Narodowy Kongres Eucharystyczny. Miejsca na trybunach obsadzone są działką, białą ubraną, biorącą udział w uroczystym nabożeństwie w Dniu Dzieci. (P. F. W.) 2. W Clamart (czyt. Klamar) pod Paryżem odbył się z udziałem ks. biskupa Chaptala z Paryża, ks. dr. Cegiełki, kierownika polsk. Misji Kat. we Francji i Ambasadora Rzpl. Polsk. w Paryżu p. Łukasiewicza zjazd księży polskich pracujących we Francji. (Fot. Witczak.) 3. Najpotężniejsza harmonijka uszna na świecie. Posiada ona 320 tonów i wymaga do wykonywania produkcji muzycznych 2 osób. (P. F. W.) 4. Japończyk też ma swego wielkoluda. Każde jego zjawienie się na ulicach Tokio wywołuje sensację. (P. F. B.) 5. Tragedyjna zmiana warty szkoły podchorążych w Belwederze, w rocznicę powstania listopadowego. (Fot. Pikiel.)



**Kiedy bierzesz ciężary, patrz na swoje wymiary...**

Ano — święteczne porządki,  
Dom jak w ukropie skąpany,  
Firanki, szafy, zakątki,  
Prochy, chodniki, dywany!

Wszedłem trzepaczkę pod pachę  
I chodnik zwinięty w rurę,  
Stępkając dźwigam z roznochem,  
Żeby przetrzepać mu skórę.

Trzepanie — zabawna chryja;  
Wiem, jak się przy tym poczyna.  
Puszczam — i zwój się odwija  
Z balkonu w dół jak lawina.

Strzeliło — szarpnęło — retyl!  
W dół mnie porwało ciężarem,  
Bom się nie liczył — niestety —  
Z maleńkim Kluski wymiarem.

**„PRZEWODNIK KATOLICKI“ ILUSTROWANY TYGODNIK DLA RODZIN KATOLICKICH**

z bezpłatnym dodatkiem dla dzieci „MAŁY PRZEWODNIK“ oraz z osobnymi działkami „ROLA I OGRÓD“ i „SPRAWY KOBIECE“.

Przedpłata kwartalna wynosi za egzemplarze osobiście odbierane w ekspedycji naszego pisma i agencjach poznańskich 1.70 zł. Za egz. wysyłane wprost z Administracji w opasce pod adresem imiennym, w ilościach od 1 do 9 egz. po 2.40 zł, od 10 do 59 egz. po 2.20 zł, od 60 egz. wzwyż po 1.90 zł za egz. — Dla abonentów pocztowych (bez opaski) przedpłata kwartalna wynosi 2.30 zł, miesięczna 80 groszy, łącznie z kosztami manipulacyjnymi.

Pocztowe konto czekowe: Poznań P. K. O. nr 206 084 „Przewodnik Katolicki“. Konto pocztowego obrotu rozrachunkowego: Poznań III, nr 014.

W sprawach dotyczących rękopisów i w sprawach redakcyjnych prosimy zwracać się wyłącznie do Redakcji, w sprawach odnoszących się do przedpłaty, ekspedycji, pokrycia należności oraz ogłoszeń — wyłącznie do Administracji „Przewodnika Katolickiego“ w Poznaniu, Al. Marcinkowskiego 22, nie zaś pod osobistym adresem X. Redaktora.

Redaktor X. Fr. Forecki w Poznaniu. — Za ogłoszenia i reklamy odpowiedzialny: Ignacy Domański w Poznaniu.

W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajków i t. p. wydawnictwo nie odpowiada za regularne dostarczanie pisma i abonenci nie mają prawa domagać się niedostarczonych numerów lub odszkodowania. Zakład i miejsce odbicia, wydawca i miejsce wydania: Drukarnia i Księgarnia św. Wojciecha Sp. z o. o. w Poznaniu — na papierze z własnej fabryki „Malta“.

Telefony 26 78, 22 41, 36 13, 36 14, 31 27.